



Carol Wood



Dom pod Tawerną

Special - „Szczęśliwa Gwiazdka”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Październik 1928 r.

- O rany, patrzcie, jakie ma buty! W życiu nie widziałam takich szykownych! - zawołała chuderława dziewczynka z burzą zmierzwionych rudych loków na głowie, zerkając zza grubej perkalowej zasłony w oknie wysokiej sutereny.

- Ćśś, Cessie - szepnął stojący obok wymizerowany czternastolatek. - Jeszcze usłyszysz cię panna Tilly, a powinniśmy być już w łóżkach.

- Nie jestem zmęczona.

- Ale powinnaś.

- Co tam się dzieje? - zapytała czternastoletnia Molly, podchodząc do rodzeństwa. - Co was tak podnieciło?

- On! - Siedmioletnia Cecilia, Cessie dla najbliższych, przykleiła nos do szyby i zarumieniła się, kiedy mężczyzna stojący na schodach przed domem uśmiechnął się do nich.

Trójka dzieci stłoczyła się koło siebie, żeby lepiej przyjrzeć się nieznanemu, który zmarszczył lekko czoło pod obstrzałem tyłu ciekawskich spojrzeń.

- Czy on tu wchodzi?

- Nie, tylko się rozgląda.

- Za czym się rozgląda?

- Skąd mogę wiedzieć - zachnął się Frank. - Nie jestem jasnowidzem!

- Otworzysz mu?

- Nie, bo jeszcze nie zapukał.

- Dzieci! Co wy wyprawiacie? - rozległ się głos w drugim końcu pomieszczenia.

Zasłona momentalnie wróciła na swoje miejsce, a trzy główki odwróciły się jak na komendę.

- Na schodach stoi jakiś dżentelmen, panno Tilly. - Frank wysunął się przed siostry. - To musi być jakaś gruba ryba - dodał z niepokojem.

- Ma takie buty, jakie widuje się podczas regat na Tamizie. Czy to nie jest przypadkiem jeden z kuratorów rodzinnych?

Tilly uśmiechnęła się ciepło do swoich podopiecznych.

- Raczej mało prawdopodobne o tak późnej porze, Frank - uspokoiła chłopca, a cała trójka odetchnęła z ulgą.

- Czy przyślą po nas kogoś i zamkną nas w przytułku? - zapytała Cessie, a jej piwne oczy były wielkie jak talerze.

- Gdzież tam! - zapewnił siostrzyczkę Frank.

- Panna Tilly do tego nie dopuści.

- Ale doktor Tapper nie jest zadowolony, że tu mieszkamy - dodała zatroskana Molly.

- A przecież nie mamy gdzie się podziać. Nie mamy ani rodziców, ani domu!

Wrażliwe serce Tilly ścisnął żal. Podobnie było dwa miesiące temu, kiedy zobaczyła te dzieci pierwszy raz. Nieśmiało przekroczyły próg przychodni, całe w świerzbie i we wszach.

Cessie gorączkowała, a cała trójka była niedożywiona. Sieroty, które zniecka spadły jej prosto z nieba - tak o nich myślała - z miejsca ją zawojowały. A teraz przez nikogo niechciane i niekochane zdane były wyłącznie na nią. Jak mogłaby się ich pozbyć? Czy życie nie było dla nich już i

tak zbyt okrutne? Porzucił je ojciec, matka umarła na gruźlicę, aż przekazywane z rąk do rąk przez daleką rodzinę, wylądowały na bruku.

Molly dotąd miewa koszmarne sny, a zdrowie Cessie poprawiło się dopiero niedawno. Gdyby nie przytomność umysłu, a także odwaga Franka, który przyszedł z siostrami do gabinetu lekarskiego, Cessie już by nie żyła.

Ale nawet tak dobry i współczujący człowiek jak doktor Tapper przestrzegł ją, że dzieci nie mogą pozostać w Domu pod Tawerną. To było dobre, tłumaczył, na czas rekonwalescencji Cessie, ale na dłuższą metę dzieci muszą mieć stały dach nad głową, a Tilly ze swoją skromną pensją nie wyżywi ich ani nie ubierze.

Jednak wciąż miała nadzieję, że stanie się cud, podobnie jak zdarzył się w jej życiu przed dwudziestu sześciu laty. Wtedy kilkudniowym niemowlęciem, porzuconym w brudnym worku w dzielnicy portowej Londynu i skazanym na śmierć przez zamarznięcie, zaopiekowały się siostry miłosierdzia. Dostała od nich drugą szansę na życie. Teraz pragnęła tego samego dla swoich sierot.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Przestraszone trzy pary oczu utkwily w niej wzrok.

- A jednak zapukał!

- Chce tu wejść!

- A jeśli to kurator?

- Nie denerwuj się, Cessie. - Tilly uśmiechnęła się dla dodania dzieciom kurażu. - Oczywiście, że to nie on. A teraz zmykajcie! Już was nie ma i przebierzcie się w nocne koszule.

Z ociąganiem cała trójka przemaszerowała obok niej i zniknęła w korytarzu.

Tilly przyglądała grzywkę lśniących płowych włosów i poszła otworzyć.

- Dobry wieczór. - Przed nią stał wysoki młody człowiek. W świetle lampy odnotowała, że ma ciemne włosy i jeszcze ciemniejszą karnację. Zauważyła, podobnie jak Frank, że jest dobrze ubrany w modne wąskie spodnie i jednorzędową marynarkę zapiętą na szerokiej klatce piersiowej.

Poczuła się trochę nieswojo w swoim mundurku. Po całym dniu pracy biały wykrochmalony pielęgniarzski fartuch stracił na świeżości.

- Tak? - zapytała grzecznie. - Czym mogę służyć?

- Przepraszam, że niepokoję panią i... - Spojrzał jej przez ramię. Kropla deszczu skapnęła z rynny i wylądowała na jego nosie. Strzepnął ją ładną ręką o długich palcach. - Ale szukam doktora Tappera.

Dyskretnie przyglądała się nieznanemu. Odbiegał wyglądem od ludzi odwiedzających tutejszy gabinet. Wszyscy pacjenci doktora Tappera byli biednymi, pozbawionymi środków do życia mieszkańcami Psiej Wyspy, przeklętego kawałka lądu w kształcie podkowy, otoczonego z trzech stron wodami Tamizy, a znajdującego się w samym sercu londyńskiego East Endu.

- A pukał pan mocno?

Pokiwał głową.

- Tak, oczywiście, ale bez rezultatu.

- Hm, to dziwne... Widziałam się z doktorem zaledwie pół godziny temu. Przyjeliśmy ostatniego pacjenta i skończyliśmy dyżur. Z tego co wiem, doktor nie zapisywał dziś wizyt domowych.

- A pani jest...? Z kim mam przyjemność? - zapytał grzecznie.

- Jestem asystentką doktora - odpowiedziała trochę wyniośle, naśladowując jego powściągliwy sposób bycia. Wyprostowała się, świadoma faktu, że z jakiegoś powodu ten ciemnooki mężczyzna nie wywołuje w niej pozytywnej reakcji, choć było coś w jego przystojnej twarzy o długim orlim nosie i pełnych

ustach, co łagodziło rysy i przydawało dyskretnej elegancji całej jego posturze.

- Na pewno mocno pan pukał?

- Naturalnie, i to dwukrotnie.

Mało spontaniczny człowiek, pomyślała, kiedy dyskretnie badali się wzrokiem, niemniej jednak podczas tych paru sekund, kiedy wpatrywał się w nią, czuła ciarki na plecach. Wzięła się w garść, a nie widząc innego wyjścia, postanowiła udać się na górę i osobiście zbadać sprawę.

- Proszę do środka, włożę tylko płaszcz. - Starła się przestrzegać dobrych manier, chociaż w obecności nieznajomego i pod jego badawczym spojrzeniem nie przychodziło jej to łatwo.

Po wejściu do środka tajemniczy gość stał sztywno i lustrował wzrokiem pokój. Suterena Domu pod Tawerną, choć nieduża, była czysta i przytulna. Tilly dostrzegła aprobatę w oczach przybysza. Zgromadziła tutaj wszystkie ulubione meble oraz drobiazgi i bibeloty, których z takim trudem dorobili się z Jamesem, jej nieżyjącym mężem.

- Uroczy pokój - powiedział z podziwem.

- Dziękuję. - Była dumna ze swojego małego królestwa, z palącym się ogniem w kominku i dwoma dużymi fotelami po obu jego stronach z mnóstwem poduszek. Także szkarłatna kanapka, mimo wystającego ze szwów końskiego włosia, prezentowała się zupełnie nieźle. Duża dębowa komoda z porcelaną i książkami również cieszyła oko. A Tilly szczyliła się tym, że przeczytała każdą z nich co najmniej raz.

Zostawiła nieznajomego i udała się do pokoju dzieci. Wchodząc, omal nie zwała ich z nóg.

- Podśluchiwaliście! - zbesztła ich, siląc się na surową minę.

Cała trójka kiwnęła głowami.

- To jednak nie jest kurator - powiedział z ulgą Frank. - Szuka jedynie doktora Tappera.

- I nie lubi przeciekających rynien - zauważyła Molly.

- A pani zaprowadzi go na górę - dodała Cessie, wirując w kółko w nocnej koszuli

Zachowując kamienny wyraz twarzy, Tilly klasnęła w dłonie.

- Do łóżka, i to już!

- Ja też? - próbował oponować Frank. - One są ode mnie młodsze!

- Dobry sen jeszcze nikomu nie zaszkodził. Czeka cię ciężki dzień, więc radzę się wyspać. A teraz dobranoc i śpijcie dobrze.

W ubiegłym tygodniu Frank dostał pracę. Szukano chłopca do pieczenia kasztanów w koksowniku na targu. Teraz Frank przynosił do domu jako wynagrodzenie kilka drobnych monet i dużą torbę kasztanów, które piekli na ogniu. Chłopiec zawsze narzekał na brak prywatności, ale szybko dodawał, że spanie w jednym pokoju z siostrami jest lepsze od zimna i przeciągów na ulicy. Uwielbiał swoje siostry do szaleństwa i uważał się za ich opiekuna. Tilly była pełna podziwu dla jego postawy.

Będąc już w swoim pokoju, zdjęła fartuch i włożyła płaszcz. Rzuciła okiem do lustra. Ujrzała w nim szczupłą młodą kobietę o poważnych niebieskich oczach. Miała nadzieję, że wygląda nieźle, a nieznajomy to doceni. A w ogóle jedynym powodem, dla którego przejmuje się swoim wyglądem, jest jej duma, którą ten młody człowiek na swój dziwny sposób wystawia na próbę.

Dom doktora tonął w ciemnościach. Trzykondygnacyjny budynek składał się z sutereny, którą zajmowała Tilly, wysokiego parteru, gdzie przyjmował doktor, i z jego mieszkania na pierwszym piętrze. Bez światła dom wyglądał ponuro.

Tilly zastukała dwa razy.

- Tak jak myślałem, nikogo nie ma - zauważył jej towarzysz.

Nieobecność doktora wydała się Tilly mało prawdopodobna i wielce niepokojąca. Zawsze informował ją o nagłych wypadkach.

Otworzyła drzwi własnym kluczem. Powietrze jakby zastygło w bezruchu. Gabinet znajdował się po prawej stronie, wąskie przejście służące za poczekalnię po lewej, natomiast schody prowadziły do części mieszkalnej.

- To wszystko jest co najmniej dziwne - powiedziała, zapalając lampy gazowe.

Udała się do gabinetu, gdzie młody człowiek popatrzył ze zdumieniem na stojące na półkach przeróżne kolorowe butelki i słoiki. Dla Tilly widok jedynej w swoim rodzaju apteki doktora Tappera, pełnej ziół, płynów, kremów i maści, którymi zwalczał choroby, był czymś najnormalniejszym pod słońcem. Nagle zza parawanu dobiegł ich głośny jęk.

Pośpieszyli tam. Starszy pan leżał na podłodze i próbował wstać.

- Wuju Williamie! - Nieznajomy rzucił się na pomoc. - Co się stało?

- Nie wiem, Harry, po prostu musiałem stracić przytomność.

- Pozwól, że posadzę cię na krześle.

Kiedy siadał, Tilly wsunęła mu poduszkę za plecy.

- Nie przejmujcie się, już jest dobrze - powiedział, patrząc na ich zatroskane twarze. - Tilly... to jest doktor Harry Fleet, mój siostrzeniec.

- Muszę cię zbadać, wuju.

- Czy to konieczne?

- Z całą pewnością. Masz niezłego guza na głowie, musimy też poznać przyczynę twojego omdlenia.

Doktor przygłodził potargane siwe włosy, potem spojrzał na Tilly.

- Czy mógłbym cię prosić, moja droga, żebyś poszła na górę i zrobiła dla nas wszystkich herbatę? Niedługo tam przyjdziemy.

- Oczywiście. - Nie przypominała sobie, żeby doktor Tapper wspominał kiedykolwiek o siostrzeńcu, ale rzadko mieli czas na prywatne rozmowy. Ich życie zdominowali chorzy. Biedny doktor Tapper, zasmuciła się Tilly. Teraz sam został pacjentem.

- Jak wuj się czuje?

- Lepiej, dziękuję ci, Harry. - Doktor Tapper siedział w swoim fotelu, z guzem na czole, ale kości miał nienaruszone.

Tilly napaliła w salonie, dzięki czemu starszemu panu zaróżowiły się trochę policzki. Przygotowała też dzbanek gorącej, słodkiej herbaty.

- Usiądź, proszę, moja droga, bo aż mi się kręci w głowie, kiedy tak skaczeicie nade mną.

- Tak - przyznał Harry Fleet i sam usiadł. - Zrobiła pani wszystko, żeby dogodzić nam obu.

Przycupnęła na jednym z dużych foteli. Nieraz namawiała doktora, żeby robił sobie krótką przerwę w godzinach pracy, ale nie miał sumienia odmawiać komukolwiek pomocy i kazać czekać na siebie. Uważał, że drzwi jego gabinetu muszą być zawsze otwarte.

- Przepraszam, moje dziecko, że przeze mnie najadłaś się strachu. Kiedy wychodziłaś wieczorem, nie miałem pojęcia, że będę miał jeden z moich drobnych zawrotów głowy. - Westchnął lekko. - Jeszcze tego mi brakowało.

- Bierzesz na to jakieś lekarstwo, wuju?

- Tak, mały kieliszeczek czegoś mocniejszego.

- Mam nadzieję, że nie aplikujesz sobie niczego z tych półek na dole?

Na twarzy starego doktora pojawił się przekorny uśmiech.

- Wiem, że moja apteczka może wydawać się trochę staroświecka, Harry, ale te lekarstwa zdają egzamin od lat i wyleczyły niejednego.

- Zgoda. Pozwól jednak, że tym razem sam ci coś przepiszę, ale najpierw dokładnie cię zbadam.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby, Harry.

- Wybacz, wuju, ale mam inne zdanie, uważam bowiem, że jeśli nie zajmiesz się sobą, a zwłaszcza sercem, to grozi ci coś znacznie poważniejszego niż tylko omdlenie.

Tilly jęknęła cichutko.

- Wszystko w porządku, moja droga, to tylko brzmi tak groźnie. - Doktor pogłaskał ją po rękę.

- Kiedy pan naprawdę powinien odpocząć! - nie wytrzymała.

- Pani Dainty ma świętą rację. Musisz odpocząć, wuju, a ja z przyjemnością ci pomogę. Tak się składa, że mam urlop, więc chętnie cię zastąpię. Nic się nie stanie, jeżeli odwiedzę mamę w Bath trochę później.

Doktor westchnął ciężko.

- Nie było cię w kraju tak długo, że nie powinienesz kazać matce czekać na siebie.

- Sama by nalegała, żebym został z tobą. Jestem pewny, że doskonale sobie poradzę, zwłaszcza mając do pomocy panią Dainty.

- Tilly jest bardzo dobrą pielęgniarką - przyznał doktor Tapper. - I działa kojąco na pacjentów.

- Nie wątpię, że będzie się nam dobrze współpracowało. A na razie, ponieważ zrobiło się już późno, nie chcielibyśmy pani dłużej zatrzymywać, pani Dainty.

Podniosła się z fotela.

- Przed wyjściem pościelę panu w gościnnym pokoju.

- Proszę się nie fatygować. Jestem tu na tyle zadomowiony, że gdy tylko wuj William uda się na spoczynek, sam się sobą zajmę.

- Bądź spokojna, Tilly, bo naprawdę zostawiasz mnie w dobrych rękach - dodał doktor.

- Pozwoli pani, że ją odprowadzę. - Harry Fleet poderwał się z miejsca.

- A zatem dobranoc - powiedziała Tilly, zbierając się do wyjścia.

- Śpij dobrze, moja droga.

- O której mam się zjawić rano? - zapytał, kiedy schodzili na dół.

- O siódmej. Jak pan wie, mam klucz, więc nie będzie pan mnie musiał wpuszczać.

- Dobry Boże! To strasznie wczesna pora. A pani musi pewnie zająć się najpierw mężem i dziećmi?

- Jestem wdową, doktorze Fleet.

- Och, przepraszam, tak mi przykro - zawołał niemal, nie kryjąc zdziwienia.

- A dzieci nie są moje i przebywają u mnie czasowo.

Coraz bardziej zdumiony pokiwał tylko głową.

- Zawsze przychodzę przed dyżurem, przygotowuję śniadanie i palę w kominku, żeby utrzymać stałą temperaturę w pokojach doktora Tappera.

Uśmiechnął się.

- Póki tu jestem, nie musi się pani fatygować. Zrobię wujowi pożywne śniadanie, a rozpalenie kominka nie zajmie mi wiele czasu, więc gdyby zechciała pani przyjść później, powiedzmy o ósmej, bardzo by mi to odpowiadało. - Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi. - Dobranoc, pani Dainty.

Zrobiło jej się smutno. Pomyślała, że młody doktor jej tu nie chce, choć z drugiej strony może niewłaściwie odczytała jego wyniosłość... W końcu

proponując, żeby przyszła później, zostawił jej więcej czasu na zajęcie się dziećmi i sobą. Co przyniesie jutro? - zastanawiała się z lekkim niepokojem. Jak zareagują pacjenci na tę nieoczekiwaną zmianę?

- To czego on chce, panno Tilly? - zapytał Frank podczas śniadania.

- Jest bogaty? - Cessie napchała więcej chleba do buzi, niż była w stanie przełknąć.

- A ma żonę? - dopytywała się Molly, nabierając z gracją ostatnią łyżkę owsianki.

- Nie wiem, po trzykroć nie wiem - odpowiedziała Tilly, nalewając gorącą herbatę do czterech dużych kubków. - A teraz szybko kończcie śniadanie.

- Nie idzie pani na górę? - zapytała podejrzliwie Molly.

- Idę, ale dopiero na ósmą.

- Nie słyszałem, żeby doktor Tapper kiedykolwiek o nim wspominał - wtrącił Frank, wycierając twarz rękawem koszuli. - On w ogóle nie jest do nas podobny. Nie wydaje mi się, żeby długo tu zabawił. - Uśmiechnął się szeroko spod gęstej grzywy kasztanowych loków.

- Czy doktor Tapper wyzdrowieje? - zapytała z powagą Molly, wypowiadając na głos myśli Tilly.

- Pewnie, że tak! - zdecydowała Cessie, podczas gdy Tilly usiłowała uporać się z jej wyjątkowo niesfornymi włosami. - Podejrzewam, że się tylko przeziębił.

- Na pewno szybko wyzdrowieje - dyplomatycznie orzekła Tilly, kończąc czesać Cessie.

- Gdybym powiedziała, że boli mnie brzuch, pozwoliłaby mi pani zostać w domu? - prowokowała Cessie, wkładając do buzi ostatnie okruszki chleba.

- Nie. Powiedziałabym, że boli cię brzuch, bo zanadto się opychasz.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem

Z duszą na ramieniu wchodziła na górę. W domu panowała cisza. Co będzie, jeśli Frank ma rację i okaże się, że Harry Fleet w ogóle do nich nie pasuje i po prostu zniknął równie szybko, jak się pojawił?

Oddaliła od siebie złe myśli i weszła do komórki przy kuchni, żeby przygotować się na długi dzień pracy.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Wpisała datę - wtorek, 9 stycznia, rok 1928 - na górze kartki papieru i odłożyła ją na bok. Za godzinę kartka wypełni się nazwiskami i trzeba ją będzie odwrócić i zacząć pisać na drugiej stronie. Początek tygodnia zawsze był bardzo pracowity. W czwartki i w piątki kobiety, zaaferowane spłacaniem bądź odraczaniem długów, nie miały głowy, żeby zajmować się zdrowiem rodziny, a tym bardziej swoim. Trzeba było udobruchać kupca sprzedającego na zeszyt albo odebrać niedzielne ubranie od Wujka, jak zwano właściciela lombardu.

Żadna z nich nie liczyła na jakieś większe pieniądze od męża, który najczęściej otwierał kopertę z wypłatą w pubie i nie odrywał się od piwa aż do zamknięcia lokalu. Dopiero wtedy wracał do domu, o ile był w stanie utrzymać się na nogach.

Pod tym względem Tilly uważała się za szczęściarę. James, jej mąż, nie pił alkoholu i miał dobry charakter. Chociaż był od niej starszy aż o czternaście lat, pasowali do siebie i byli z sobą szczęśliwi. Ich małżeństwo trwało zaledwie cztery lata, kiedy James wpadł pod tramwaj i zginął na miejscu. To był potworny szok, po którym jeszcze nie do końca się pozbierała.

Potoczyła wzrokiem po udreńczonych twarzach mężczyzn, kobiet i dzieci, nieszczęsnych mieszkańców Psiej Wyspy. Wielu z tych ludzi nie doczeka zimy. Starzy i niedołężni, młodzi i słabi, wszyscy kaszlący, przeziębieni, kichający i zagrypieni. Dzieci wierciły się niespokojnie, a dorośli starali się utrzymać porządek. Właśnie matka próbuje utulić płaczącą niemowlę. Imię małego Noaha widniało na pierwszym miejscu sporządzonej przez Tilly

listy. Po chwili malec zaczął wrzeszczeć wniebogłosy, a inni go przekrzykiwali.

Zanim pojawiał się doktor, w poczekalni aż wrzało. Ale kiedy doktor Harry Fleet wyszedł na korytarz, żeby poznać się z pacjentami, hałas natychmiast ustał.

- A to kto?
- Zgubiłeś się, synku?
- Gdzie jest doktor Tapper?
- O rany, ale się odpicował, no nie?

Tilly wysłuchiwała komentarzy, po czym obwieściła:

- Doktor Fleet zastępuje doktora Tappera, który jest niestety niedysponowany.

- A tak normalnie to co to znaczy?
- Nie chcemy tutaj tego konowała.
- Nie mamy pieniędzy, jeśli o to chodzi!

Złapała kartkę papieru i pośpieszyła za doktorem Fleetem.

- Dzień dobry - powiedziała służbowym tonem, stając prawie na baczność w wykrochmalonym fartuchu. Ale doktor jej nie słuchał. Szczeka mu opadła na widok przepelnionej poczekalni. - W poniedziałki i wtorki zawsze jest najtłoczniej - szybko dodała, chcąc złagodzić pierwsze uderzenie.

- Od razu mi ulżyło. - Zmusił się do heroicznego uśmiechu, widząc otaczające go niechętnie spojrzenia.

Udała się za nim do gabinetu, gdzie usiadł na krześle i poprawił sobie krawat.

- Jak się czuje pana wuj? - zapytała.

Doktor Fleet odchrząknął i pokiwał głową.

- Z przyjemnością komunikuję, że jest wypoczęty i czuje się nie najgorzej. Namawiam go usilnie, żeby skonsultował się z jednym z moich kolegów, uznanym specjalistą w tej dziedzinie. - Zmienił pozycję pod jej baczny spojrzeniem. - I jestem pewny, że wreszcie się podda.

To znaczy, doszła do wniosku Tilly, że doktor Tapper jest jak zawsze uparty i odmawia zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty.

- Tak, jestem pewna, że tak - zgodziła się z pewnym wahaniem.

- I... hm... jeszcze jedno, pani Dainty. Ja... hm... chciałbym wyrazić moje uznanie za wszystko, co pani zrobiła dla mojego wuja. Opowiadał, jak się pani nim opiekuje... a także swoją... hm... gromadką. Wuj jest pełen podziwu. - Popatrzył na nią, a Tilly zobaczyła, jak oczy mu się rozjaśniają, a na twarzy błąka się uśmiech. I znów poczuła się dziwnie. Im dłużej na nią patrzył, tym silniejszych doznawała wrażeń. Dreszczyk oczekiwania był prawie podniecający. - Myślę - dodał, przenosząc powoli wzrok na biurko - że powinniśmy już zacząć przyjmować pacjentów.

Podowała mu listę drżącą ręką i szybko ją cofnęła, żeby tego nie zauważył.

- Wpisałam parę uwag przy nazwiskach niektórych pacjentów - wyjaśniła pośpiesznie, bojąc się, by jej głos nie zdradził, co czuje. - Nie wszystkich, bo byłoby tego za dużo, ale na przykład to sześciomiesięczne maleństwo, Noah Symes, które wciąż płacze...

- Tak, słyszę - przyznał, krzywiąc się i jednocześnie nie przestając się uśmiechać.

- Zazwyczaj doktor Tapper przepisuje mu napar z kopru włoskiego. Noah często ma kolkę. - Pokazała wysoką, wąską butelkę na półce.

- Ma pani na myśli jeden z preparatów wuja? - Z jego twarzy znikła wszelka wesołość. - Pani Dainty...

- Wszyscy mówią do mnie Tilly. - Wyprostowała się, zadowolona, że wracają do spraw zawodowych.

- A więc... hm... Tilly, jestem pewny, że będę mógł postawić diagnozę po zbadaniu dziecka

Pokiwała głową, zostawiając dla siebie uwagę, że jedyne, co doktor wykryje, tracąc przy tym mnóstwo czasu, to to, że dziecko jest wyjątkowo zdrowe, tylko je zbyt łapczywie.

- Proszę wprowadzić matkę z dzieckiem.

- Niestety, matka Noaha umarła przy porodzie - wyjaśniła, kierując się do poczekalni.

- Teraz zajmuje się nim babka. Zresztą ona także, jak prawie wszyscy w tej dzielnicy, ledwie wiąże koniec z końcem.

- A ojciec dziecka?

- Nikt nie wie, gdzie teraz przebywa. A nawet kim jest.

- Ma pani rację, Tilly, to naprawdę bardzo smutna historia. Zobaczmy więc, w jaki sposób możemy pomóc dziecku.

Było dla niej oczywiste, że młody doktor zamierza wprowadzić zmiany, na szczęście jednak dobro pacjentów leży mu na sercu.

Do piątej po południu doktor Fleet zdążył się zapoznać z niejednym przypadkiem. Przez gabinet przewinęli się Bert Singer ze świszczącymi płucami, młoda Emily Tanner z czwórką braci, a cała piątka na innym etapie odry, i jedenastoletnia dziewczynka, Grace Mount, której dolegliwość matka określiła jako „ataki waporów”. Stan Horn, jak wielu weteranów wojny, był po amputacji. Stracił nogę i uskarżał się na nieustanny ból. Już samo przyjsię na dyżur było dla niego nie lada wyczynem.

Tilly zauważyła, że doktor przeprowadził z nim długą rozmowę i zaproponował, że odwiezie go do domu samochodem, ale pan Horn uniósł się

honorem i odmówił, a wychodząc, zwierzył się Tilly, że doktor zapisał mu nowe lekarstwo.

Dopiero o wpół do szóstej zamknęły się drzwi za ostatnim pacjentem. Kiedy Tilly weszła do gabinetu, doktor Fleet był pogrążony w lekturze historii chorób pacjentów.

- Muszę wyrazić moje uznanie dla sposobu, w jaki prowadzi pani kartotekę - powiedział, kiedy stanęła przy biurku. - Wszystkie zgromadzone tu informacje okazały się bardzo przydatne.

- Dziękuję. - Zarumieniła się z powodu nieoczekiwanego komplementu.

- Chociaż... niektóre metody leczenia są... - zawahał się, podając jej do przejrzania kartki z oślimi uszami - ...trochę niekonwencjonalne.

Miała przed sobą uwagi dotyczące historii choroby Charliego Atkinsa. Jak zwykle o tej porze roku Charlie skarżył się na nawrót swojej „drżączki”.

- Dolegliwości, na które narzeka, obejmują prawie całe ciało. Z pani notatek wynika, że leczony był „nalewką z rumianku z prawej półki na górze” i „pigułkami z lukrecji z trzeciej dolnej szuflady”.

- Tak, zgadza się.

- Czegoś tu nie rozumiem. - Doktor zmarszczył czoło. - Pan Atkins bardzo się opierał, kiedy chciałem dokładnie go zbadać. Wręcz odmówił i tyle go widziałem.

- Zwykle pański wuj zapisuje mu to samo lekarstwo - wyjaśniała cierpliwie Tilly. - Pan Atkins zawsze przychodzi do gabinetu przed Bożym Narodzeniem, więc pewnie i tym razem spodziewał się dostać rumianek i lukrecję, oczywiście bez badań.

- Rumianek i lukrecja! - mruknął, jakby nad czymś rozmyślał. - I na co mu to?

Zapał Tilly trochę ostygł.

- Podobno te składniki stosowane razem - próbowała wytłumaczyć młodemu doktorowi - są skuteczne na bóle artretyczne i lumbago. Jego „drzączki”, jak je nazywa, biorą się z wilgoci, która panuje w jego domu, a prawdę mówiąc, w baraku podtapianym przez wodę, ilekroć rzeka wystąpi z brzegów.

- To dlaczego nie przeprowadzi się tam, gdzie mógłby żyć jak człowiek? Już na oko widać, jak wielkie spustoszenie poczyniła w nim ta przewlekła choroba.

- Kto miałby go przeprowadzić? I dokąd? Inne domy na wyspie nie są lepsze. - Skrzywiła się. - Widział je pan może?

- Nie, bo jakim niby sposobem. Zapomina pani, że nie jestem stąd.

- Więc koniecznie niech pan zobaczy to na własne oczy.

- Nie omieszkam.

Chciała wyjść, ale ją zatrzymał.

- Jeszcze tylko jedno. - Zrobił przerwę, jakby szukał właściwych słów. - Niektórzy z dzisiejszych pacjentów poinformowali mnie mimochodem, że pani sama przygotowuje i wydaje im te „lekarstwa”.

- Tak, robię to dość często, gdy doktor jest zbyt zajęty albo gdy chodzi o powtórzenie zalecenia.

- Czy to nie za duża... odpowiedzialność?

Rozzłościł ją tym pytaniem.

- To, że nie mam dyplomu, doktorze Fleet, nie oznacza wcale, że nie znam się na moim fachu. Uczyłam się pielęgniarstwa w sierocińcu, w którym wychowywałam się pod okiem sióstr miłosierdzia, a potem odbyłam staż w Hailing House, dobroczynnej instytucji na wyspie. Przez całe życie pielęgnowałam chorych i nędzarzy pozbawionych środków do życia.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem w pani umiejętności, Tilly - zareplikował natychmiast - ale zastanawiam się nad tymi tak zwanymi „lekarstwami”. Czy są całkowicie bezpieczne? Nawet jeśli mój wuj wierzy w ich skuteczność, co będzie, jeśli się okaże poniewczasie, że zaniechano podania uznanego przez medycynę leku?

- Jestem więcej niż pewna, że jeszcze nikogo nie zabiły! A teraz, zanim pójde do siebie, chciałabym zajrzeć do doktora Tappera - powiedziała, zadzierając wysoko głowę.

Trudny z niego człowiek, myślała w drodze na górę. Była zła i zdenerwowana, więc przed wejściem do pokoju doktora przystanęła i głęboko odetchnęła. Dlaczego aż tak bardzo Harry Fleet mąci jej spokój i zaprzęta myśli?

Doktor Tapper siedział przy kominku.

- Och, Tilly, usiądź przy mnie, proszę. Jak minął ci dzień?

- Bardzo dobrze, panie doktorze, dziękuję.

- A jak sobie radzi mój siostrzeniec?

Nie chciała zasmucać starszego pana. Gdyby powiedziała, co naprawdę myśli, stan jego zdrowia mógłby się pogorszyć.

- Jest cierpliwy... dokładny... i jestem pewna, że przywyknie do tego rodzaju pracy.

Doktor Tapper wyglądał na nieprzekonanego.

- Bądź dla niego wyrozumiała - poradził łagodnym tonem. - Warunki, w których żyje i pracuje w koloniach, różnią się diametralnie od tego, z czym ma teraz do czynienia na East Endzie. - Poklepał ją po ręku. - Cieszymy się, że nas odwiedził.

Nie do końca podzielała tę opinię. Oczywiście byłoby dobrze, gdyby młody doktor na jakiś czas go odciążył, ale czy nie zniechęci się i nie ucieknie stąd po kilku dniach uciążliwej pracy?

Naciągnęła koc na nogi doktora i podwinęła boki. Krzątając się, zauważyła, że w kominku trzaska ogień, a na stoliczku stoi pełen asortyment buteleczek z lekarstwami, a także dzbanek z wodą i owoce. W zasięgu ręki chorego gazeta, książka i fajka - położone tu z pewnością z myślą o poprawieniu mu samopoczucia. Harry Fleet ma więc parę cech, które przemawiają na jego korzyść.

- Jesteś strasznie kochana, Tilly, ale teraz idź do domu, gdzie czekają na ciebie twoi podopieczni. - Pokiwała głową, czekając na kolejne pytanie, którego treść znała z góry. - Czy już wiesz, gdzie ich umieścisz?

- Cały czas o tym myślę, panie doktorze.

- Każda instytucja będzie lepsza niż życie na ulicy. - Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. - Nie zwlekaj z tym. Za wiele przeżyłaś w swoim krótkim życiu, moja droga, a wasze więzi będą się z każdym dniem umacniać.

Popatrzyła na jego dobrą, kochaną twarz, na gęste siwe brwi i na łagodne oczy, i pomyślała, że tak mógłby wyglądać anioł stróż. Wiedziała, że chodzi mu wyłącznie o jej dobro. Nie wiedziała natomiast, jak mu powiedzieć, że jej więź z dziećmi została już solidnie ugruntowana.

Stłumił ziewanie.

- Przepraszam cię bardzo, ale ostatnio szybko się męczę.

Poprawiła mu poduszki i dorzuciła węgla do ognia. Kiedy się odwróciła, doktor już spał.

Zamknęła cicho drzwi i zeszła na dół. Ku jej rozczarowaniu doktor Fleet czekał na nią. Wyglądał na zmęczonego, ale uśmiechnął się do niej. Pomyślała,

że gdyby się jeszcze bardziej postarał, jego uśmiech byłby olśniewający. Ale nie doczekała się.

- Dziękuję bardzo za pomoc, Tilly.
- Czy zanieść panom kolację na górę?
- Nie, proszę się nie fatygować, sam się tym zajmę.

Podeszła do drzwi wyjściowych, a on pośpieszył, żeby je otworzyć przed nią. Musnął ją ramieniem, gdy oboje sięgnęli do zamka. Tilly aż podskoczyła. Poznała po oczach doktora, że jego reakcja była podobna. Znowu poczuła budzące się w niej radosne podniecenie, co było o tyle kłopotliwe, że oblała się rumieńcem, a jej serce zaczęło walić jak szalone.

Zmusiła się i odwróciła wzrok.

- Dobranoc, doktorze Fleet.
- Dobranoc, Tilly.

Wyprostowana jak struna przeszła przez próg. Przed zejściem do sutereny przystanąła na ciemnej ulicy, żeby wyrównać oddech. Doktor Harry Fleet jest szalenie intrygującym i niebezpiecznym mężczyzną!

Z powodu wilgotnej pogody nie ubywało narzekających pacjentów. Młody doktor miał pełne ręce roboty, którą zdarzało mu się kończyć w późnych godzinach wieczornych, a Tilly dotrzymywała mu kroku, nieustannie nękana pytaniami odnośnie metod, a zwłaszcza lekarstw aplikowanych przez starszego doktora. Uspokoila się trochę, kiedy Harry Fleet oznajmił, że zamierza zostać przez jakiś czas. Jednak w piątek wieczorem, kiedy ją wezwał do siebie, miał zatroskaną minę.

- Tilly, udało mi się w końcu nakłonić wuja do zajęcia się własnym zdrowiem! W poniedziałek zawiozę go na konsultację do szpitala St Mary, gdzie zbada go mój kolega, doktor Wolf.

- Bardzo się cieszę, że się zgodził. - Poczwała ulgę, że uparty doktor Tapper poszedł wreszcie po rozum do głowy.

- Jak można się było spodziewać, wuj niechętnie oddała się z Domu pod Tawerną na tak długi czas, zapewniłem go więc, że jeśli wyjedziemy wczesnym rankiem, w południe będziemy już z powrotem. Obawiam się, że czeka panią niewdzięczne zadanie informowania pacjentów o zaszłej zmianie i zatrzymanie ich do mojego powrotu.

- Jestem pewna, że każdy to zrozumie.

Uśmiechnął się rzadkim jak na niego czarującym uśmiechem, od którego rozpromieniła mu się twarz i od razu nadała jej inny wyraz.

- A zatem umowa stoi - dodał z błyskiem w oku.

- Czeka was długi dzień, więc może przygotuję śniadanie? - zaryzykowała, ośmielona niedawnym incydentem. - Doktor Tapper powinien się wzmocnić przed wyczerpującą podróżą, niezależnie od tego, jak wygodny ma pan samochód.

- W tej sytuacji z wdzięcznością skorzystam z pani propozycji - powiedział z przymilnym uśmiechem, od którego zakręciło się jej w głowie. Ale już po chwili dodał: - Z drugiej strony nie chciałbym, żeby z tego powodu zostawiała pani dzieci bez opieki... W jakim są wieku, Tilly?

Nastroszyła się trochę, ale jego twarz wyrażała szczerze zainteresowanie, więc zaczęła wyliczać:

- Frank ma czternaście lat, Molly trzynaście, a Cessie dopiero siedem.

- Niezła gromadka. - Pokiwał głową. - Czy mogę zapytać, skąd one...? -

Urwał, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- O Boże! Czy ja dobrze trafiłam? - zapytała młoda dama, kiedy Tilly otworzyła drzwi. Była świetnie ubrana - elegancki płaszcz typu futerał z futrzanym kołnierzem i kapelusz w kształcie hełmu na nieskazitelnej krótkiej

fryzurce. Wielkie piwne oczy rozglądały się ze zdziwieniem po ubogim wnętrzu Domu pod Tawerną.

- Kogo pani szuka?

- W porządku, Tilly - przerwał Harry Fleet. - Ta młoda dama to moja znajoma, panna Rosalind Darraway.

Panna Darraway weszła do środka i objęła doktora, spowijając Tilly mgiełką słodkich perfum. Wyglądało na to, że znają się dobrze, gdyż od razu wdali się w ożywioną rozmowę.

Tilly poszła po swój płaszcz. Kiedy wracała, oni wchodzili właśnie po schodach i nawet nie zauważyli jej wyjścia.

Tworzą bardzo ładną parę, pomyślała, on wysoki i ciemny, a ona taka elegancka.

Czy to sympatia doktora? - zastanawiała się, zbiegając po schodach.

Z jakiegoś powodu, zamiast cieszyć się, że nie będzie musiała odpowiadać na pytania dotyczące dzieci, ten incydent wyprowadził ją z równowagi.

W niedzielę wstała promienna. Udała się do Domu pod Tawerną, żeby przygotować śniadanie dla obu mężczyzn, którzy szykowali się do drogi.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, gdy zjawił się tłum pacjentów. Wyjaśniała im, że chwilowo nie ma kto ich przyjąć, więc muszą uzbroić się w cierpliwość i poczekać do południa. Wtedy Ted Barnes, przysadzisty doker, wyciągnął rękę.

- Do dwunastej wykrwawię się na śmierć - zaprotestował, odwijając zakrwawiony bandaż i pokazując ranę, która na szczęście nie uszkodziła tętnicy. Trzeba było ją natychmiast zdezynfekować i założyć szwy.

Tilly była w tym dobra i nie widziała powodu, dlaczego ma biernie patrzeć, jak dorosły mężczyzna mdleje z upływu krwi w poczekalni.

Ledwie się z nim uporała, a już zjawiała się kolejna ofiara wypadku. Arnold Wise, właściciel pubu Pod Dwoma Walczącymi Kogutami, rozciął sobie paskudnie rękę szkłem stłuczonej butelki. Nie mogła go odprawić, więc potraktowała go podobnie jak Teda Barnesa i szybko go opatrzyła.

Okolo pierwszej godziny liczba osób narzekających na nieobecność młodego doktora znacznie się powiększyła. O drugiej kolejka wychodziła już na ulicę i sięgała chodnika.

Pani Stopps, kobieta już leciwa, czekała cały dzień na wizytę.

- Zawsze zajmujesz się moimi uszami, Tilly. Dlaczego nie możesz zająć się i dzisiaj?

Próbowała wyjaśnić, że doktor Fleet krzywo patrzy na stare lekarstwa i nie zgadza się, żeby je aplikowała.

- A niby co chce mi dać w zamian? Parę nowych uszu? - dopytywała się głośno pani Stopps.

- Nie, najpierw je zbada! - odkrzyknęła Tilly, ale starsza pani potrząsnęła głową.

- Posłuchaj mnie, jestem głucha jak pień. Jak jeszcze trochę posiedzę, to przyrosnę do tego krzesła. Przecież on nie musi wiedzieć, że wpuściłaś mi kamforę i olejek do uszu. Bo niby kto miałby mu to powtórzyć?

Argument podziałał i Tilly zajęła się panią Stopps. Wieść o tym, że Tilly „przyjmuje”, rozniosła się błyskawicznie, a kolejka powoli zaczęła się zmniejszać.

Ale kiedy zjawiała się pani Mount z Grace, sprawa zrobiła się poważna.

- Z moją małą jest coraz gorzej. Wystarczy na nią spojrzeć! Nie dojdzie nawet do domu.

Dziewczynka osunęła się na krzesło. Rzeczywiście wyglądała marnie.

- Połóżmy ją na kozetce i postarajmy się jakoś jej pomóc - zdecydowała Tilly.

Z pomocą pani Mount przenieśli Grace na kozetkę pod schodami, przeznaczoną dla obłożnie chorych oraz mdlejących pacjentów. Tilly delikatnie przykryła chudziutką i rozpaloną od gorączki dziewczynkę.

- Młody doktor nie poznał się, co jej dolega, kiedy byłam ostatnio - pożałowała pani Mount. - Kazał z nią przyjść następnego dnia, gdyby nie było poprawy. Niby skąd brać na to czas! W domu są inne dzieciaki, a dzisiaj to musiałam posadzić przy nich sąsiadkę, żeby nie nabroili.

Tilly знаła ciężką sytuację takich ludzi jak pani Mount. Większość rodzin mieszkających na wyspie miała po pięcioro albo sześcioro dzieci, a niektóre nawet dziesięcioro i więcej. Wyżywienie takiej gromady było nie lada wyczynem, a kobiety w średnim wieku wyglądały jak staruszki.

Po ramieniu poklepała ją pani Cribbens.

- Słuchaj, Tilly, dałabyś mi trochę tego zielonego syropu. Tego, co zawsze pomaga mi na kaszel. Dasz, a zniknę ci z oczu.

I tak dalej, i tak dalej. Było już wpół do czwartej, a Tilly na własną rękę udzielała pomocy chorym i zdesperowanym ludziom. Przestała się przejmować tym, co powie młody doktor. Jeśli może ulżyć cierpiącym, to zrobi wszystko, co w jej mocy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dochodziło wpół do piątej, kiedy wrócił doktor.

- Przepraszam za spóźnienie - tłumaczył się zdyszczanym głosem Tilly, która klęczała i opatrywała spuchniętą kostkę ośmioletniego Georgiego Parkera. - Zostawiłem wuja na parę dni w szpitalu. Chcą go dokładnie przebadać, a to musi potrwać. Towarzyszyłem mu podczas niektórych badań i dlatego się spóźniłem.

- Och... Doktorowi będą potrzebne jego osobiste rzeczy - zareagowała żywo, podnosząc się z klęczek.

- Zadbałem o to, żeby miał wszystko, co trzeba - odrzekł, zdejmując płaszcz i kapelusz. - A teraz chciałbym zapytać, dlaczego zawija pani nogę chłopca w ten przedziwnie wyglądający bandaż?

- Georgie kopał piłkę i nadwreżył sobie kostkę. Robię mu kompres z arniki, która ma właściwości przeciwobrzękowe.

- Co to znowu za przesąd?

Nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy w drzwiach stanęła matka chłopca.

- Gotowy? - zapytała podenerwowana pani Parker. - Bo w domu mam jeszcze całą rodzinę na głowie, a nie ugotowałam nawet kolacji dla męża. - Kiwnęła głową w stronę doktora. - Czy będzie w porządku, jak dam moich sześć pensów pod koniec tygodnia, doktorze, bo chwilowo jestem spłukana?

- Jak najbardziej, pani Parker.

- Dobrze, dopilnuję, żeby je pan dostał. - Spojrzała na syna i kiwnęła palcem: - Chodź, Georgie, weź mnie pod ramię i skacz na jednej nodze.

Tilly pomogła chłopcu podnieść się z miejsca.

- Proszę dopilnować, żeby trzymał nogę w górze, no i jak najwięcej odpoczywał. A gdyby nie chciał słuchać, niech mu pani da łyżeczkę mleka magnezjowego.

- Tak jest... dwie łyżeczki też nie zaszkodzą - zgodziła się pani Parker, na co Georgie pierwszy raz od początku trwania zabiegu zaprotestował.

Po ich wyjściu doktor Fleet po raz kolejny wyraził swoje zdumienie:

- Mleko magnezjowe! W życiu czegoś takiego nie słyszałem! Bywa skuteczne jedynie w przypadku zaparć albo niestrawności!

- Ale Georgie tego nie wie - odpowiedziała spokojnie Tilly. - A sama myśl o przełknięciu tego preparatu tak go przeraża, że będzie wołał zrobić wszystko, co każe matka, niż to zażyć.

Doktor pokręcił głową i usiadł za biurkiem.

- Lepiej niech mi pani powie, kogo jeszcze pani przyjęła, kiedy mnie tu nie było.

Tilly uznała, że długa lista wraz z towarzyszącymi jej wyjaśnieniami może poczekać.

- Wolałabym, żeby najpierw zbadał pan Grace Mount.

- Grace Mount? Tę dziewczynkę, która była tu onegdaj?

- Obawiam się, że jest z nią znacznie gorzej.

- To dlaczego jej matka nie wróciła z nią nazajutrz po wizycie, skoro nie było poprawy?

Krzyk, który rozległ się w korytarzu, poderwał ich na nogi. Zapłakana pani Mount potrząsała córką za ramiona.

- Nie mogę jej obudzić! - wołała. - Co się stało mojemu dziecku?

Doktor odciągnął zawodzącą matkę i posadził ją na krześle. Po pobieżnym zbadaniu Grace wziął ją na ręce i zaniósł do gabinetu.

Tilly została w poczekalni i próbowała uspokoić panią Mount. Dopiero po paru minutach dołączyła do doktora.

- Ona jest bardzo chora, Tilly - potwierdził, kończąc badanie i przykrywając Grace kocem. - Trzeba ją szybko przetransportować do szpitala. Wzywanie karetki potrwa za długo, więc sam ją tam zawiozę. Przykro mi, ale pacjenci będą musieli uzbroić się w cierpliwość.

Zaniósł Grace do samochodu i odjechał, a Tilly pocieszała panią Mount najlepiej, jak umiała.

- Co się stanie z moją małą? - szlochała zrozpaczona matka.

Po chwili cała kolejka pocieszała płaczącą kobietę i wyrażała swoje współczucie. Jednocześnie oczy wszystkich skierowały się na Tilly. Widzieli, jak doktor wynosi dziewczynkę, wiedzieli też, że jest bardzo chora. Szeptem dzielili się swoim niepokojem i z lękiem wypowiadali słowo, które w tej dzielnicy nędzy i ubóstwa brzmiało szczególnie groźnie. Dyfteryt to okrutna choroba, która błyskawicznie się rozprzestrzenia. Tilly już się z nią zetknęła, najpierw w szpitalu sierocińca, a potem w Hailing House.

Czy u Grace pojawiły się pierwsze objawy?

Była siódma godzina, kiedy doktor przyjął ostatniego pacjenta. Od powrotu ze szpitala rzadko się odzywał.

Tilly posprzątała korytarz, po czym weszła do gabinetu. Doktor zdjął fartuch i zawijał właśnie rękawy koszuli.

- Tilly, gdzie pani przechowuje fenol?

Zasepiła się. Fenolu, tego silnie odkażającego środka, używano w dużych ilościach, kiedy groził wybuch choroby.

- A więc to dyfteryt?

- Jeszcze nie mamy potwierdzenia, ale na to wygląda, niestety.

Biedna Grace, pomyślała Tilly. Miała nadzieję, że organizm dziewczynki zwalczy chorobę, chociaż przy takiej niedowadze i niedożywieniu... Choroba potrafi być bezlitosna.

- Trzeba będzie jak najprędzej zbadać resztę rodziny. A na razie bierzmy się do pracy.

Napełnili dwa wiadra wodą i wsypali do niej dezynfekujący środek o ostrym i przykrym zapachu. Tilly chciała sama umyć podłogi, ale doktor uparł się, że jej pomoże. Właśnie skończyli, kiedy zastukano do drzwi. Tym razem w drzwiach stał Frank.

- Przepraszam, że zawracam głowę, panno Tilly, ale zastanawialiśmy się, czy wszystko jest w porządku. Molly postanowiła coś upiec, a teraz to coś robi się coraz bardziej czarne w piekarniku. Nie wiem, jak to wyglądało na początku, ale wiemy, co potrafi Molly w kuchni.

Tilly spojrzała na duży zegar ścienny. Dochodziła ósma. Nie zdawała sobie sprawy, że jest tak późno

- Już idę, Frank. Powiedz Molly, że jestem w drodze.

- Jeszcze jeden pacjent? - zapytał młody doktor, kiedy wróciła do gabinetu, gdzie dezynfekował biurko.

- Nie, to był Frank. Chciał wiedzieć, co się ze mną stało.

- Przepraszam, że to tak długo trwało.

- To nie pana wina.

- Nie chciałbym pani straszyć, ale radzę obserwować Franka i dziewczynki pod kątem takich objawów jak gorączka, powiększone migdały, nalot w gardle czy plamy na ciele. Zresztą sama pani doskonale wie.

- Jeśli tylko coś mnie zaniepokoi, nie omieszkać zapukać do pańskich drzwi, nawet w nocy - zapewniła, wkładając płaszcz.

Nieoczekiwanie położył rękę na jej ramieniu.

- Mam nadzieję, że mówi pani poważnie, Tilly. Obiecuję, że będę zawsze do pani dyspozycji. - Uśmiechnął się, a z jego twarzy znikło całodniowe zmęczenie.

Nie mogąc wydobyć głosu, pokiwała głową. Odwzajemniła też uśmiech i starała się opanować dziwne sensacje w jej ciele, po czym wyszła szybko i pobiegła do domu. Wystarczył jeden dotyk Harry'ego Fleeta, żebyś straciła głowę! - skarciła siebie.

Molly nie mogła się jej doczekać. Nakryła do stołu, a na środku postawiła coś, co przypominało tartę.

- Trochę za długo trzymałam ją w piecu - oświadczyła - ale możemy zjeść tylko sam środek, który nie zdążył się przypalić.

Kiedy do pokoju weszli Cessie i Frank, cała trójka wybuchnęła śmiechem. Po chwili do ogólnej wesołości przyłączyła się też Tilly. Nie chciała psuć dzieciom wieczoru smutnymi wiadomościami ani uprzedzać zawczasu, że czeka je kąpiel w środku dezynfekującym, bo tego każde dziecko się boi.

Próbowała wbić się do środka tarty za pomocą łyżki.

- Do tego potrzebna jest piła - zachichotał Frank.

- I to bardzo ostra - zawtórowała Cessie.

Kiedy tak żartowali, myśli Tilly powracały co jakiś czas do Grace. Czy nie za późno znalazła się w szpitalu? Czy inne dzieci nie mają już groźnych objawów? Czy wybuchnie epidemia, której wszystkie rodziny panicznie się boją?

Przez kolejne dni bacznie obserwowała Franka, Molly i Cessie. Przypominała im o regularnym myciu rąk i unikaniu kontaktu z kaszlącymi i kichającymi osobami, których było pełno. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mawiał doktor Tapper.

W związku z zagrożeniem mały korytarz dosłownie pękał w szwach. W piątek, po wyjściu ostatniego pacjenta, doktor poprosił Tilly do siebie.

- Zamierzałem odwiedzić wuja w sobotę - powiedział - ale w tej sytuacji postanowiłem tego nie robić. Wprawdzie nie mamy jeszcze potwierdzenia i nie wiemy, na co jest chora Grace, wolę jednak nie ryzykować i nie narażać zdrowia wuja. Natomiast chcę do niego napisać, oczywiście nie wspominając ani słowem o naszej sytuacji, i zasugerować, żeby na rekonwalescencję udał się do mojej matki, która mieszka w Bath. Ponieważ nic mnie na razie nie goni, zakomunikuję mu, że z radością zastąpię go do czasu, aż wyzdrowieje. Może chciałaby pani napisać do niego coś od siebie?

- Dziękuję. Napiszę jutro i wsunę list do skrzynki. - Chociaż brakowało jej bardzo doktora Tappera, wiedziała, że na razie jego powrót, nawet gdy poczuje się lepiej, byłby lekkomyślnością. Uważała też, co taktownie zasugerował młody doktor, że nie należy informować go o tym, co się tu ostatnio dzieje.

- Aha, i jeszcze coś - dodał doktor Fleet. - Panna Rosalind Darraway, młoda dama, która odwiedziła mnie wczoraj wieczorem, była tak uprzejma, że zaofiarowała swoją pomoc. Jestem pewny, że powita ją pani serdecznie.

Tilly znowu się spieszyła. Czy doktor Fleet jest z niej niezadowolony i woli pracować z kimś innym? A może jest zły o to, że leczyła pacjentów pod jego nieobecność? A jak ułoży się współpraca z panną Darraway? Kto wie, gdyby wybuchła epidemia, jej pomoc może okazać się bezcenna.

Kiedy w poniedziałek zjawiała się w pracy, doktor Fleet był już na miejscu i rozpakowywał pudełka z książkami.

- Dzień dobry, Tilly.

- Dzień dobry, doktorze Fleet.

- Jak pani widzi, miałem trochę roboty. - Uśmiechnął się czarująco. - Proszę się nie martwić, rzeczy doktora Tappera leżą zabezpieczone w szafkach w komórce przy kuchni.

Tilly nie wierzyła własnym oczom. Wszystkie półki zostały opróżnione! Zniknęła cała apteka starego doktora! Na jej miejscu stały rzędy ładnie oprawionych książek i stosy dokumentów.

- Dziękuję za list, Tilly. Włożyłem go do wspólnej koperty i wysłałem wraz z kilkoma czasopismami medycznymi. Jestem pewny, że wuja Williama ucieszą nasze listy. Nie omieszkalem mu napisać, że jego pacjenci znajdują się w dobrych rękach, a ich potrzeby są zaspokajane.

Po tym, co zobaczyła dzisiaj, Tilly nie była pewna, czy tak będzie istotnie. Doktor Fleet jakby czytał w jej myślach.

- Jest pani bardzo blada. Teraz, kiedy przybędzie do pomocy Rosalind, może weźmie pani sobie krótki urlop?

Przeraziła się.

- Nie... nie, to nie jest konieczne. Czuję się zupełnie dobrze.

Zmarszczył czoło i postawił na półce książki, które trzymał w ręku.

- Ta drobna zmiana nie powinna pani niepokoić. Wiem, że nie zawsze we wszystkim się zgadzamy, ale zapewniam panią, że nie potępiam sposobów leczenia mojego wuja. Ale tak jak wuj wierzy w swoje metody, tak ja wierzę w moje. Nie proszę pani o aprobatę, tylko o współpracę. Mam nadzieję, że odtąd nic nie stanie temu na przeszkodzie.

Wyszła cicho z pokoju. Nigdy nie wiedziała, czego może się spodziewać po młodym doktorze. Ile jeszcze potrwa, zanim doktor Tapper wróci do zdrowia? A co będzie potem? Boże, jak bardzo tęskniła za Jamesem w takich momentach! Tylko on dodawał jej otuchy i umiał doradzić. Czy naprawdę musiał umrzeć i zostawić ją samą?

Arnold Wise był pierwszym pacjentem, który został przyjęty tego dnia.

- Przyszedłem na zdjęcie szwów, Tilly. Możesz to zrobić szybko i energicznie, kochana, bo właśnie czekam na transport z browaru? Jestem pewny, że dzięki twoim zręcznym paluszkom będę wyglądał jak nowy.

Sugestia, która z pewnością nie spotkałaby się z aprobatą młodego doktora.

Wkrótce zjawiła się panna Rosalind Darraway. Ubrana w iście królewski beżowy płaszcz z wysokim kołnierzem i czarny modny kapelusz w kształcie hełmu z kokardą z boku, trzymała w ręku podróżną torbę z najszlachetniejszej skóry.

- Gdzie Harry? - zapytała od progu, krzywiąc się na widok ludzi w poczekalni, którzy gapili się na nią jak na cudaka.

- Bada chorego - odpowiedziała Tilly, sadzając rocznego Tommy'ego Knoksa na kolanach matki. Dzieciak był ubrudzony, zwłaszcza buzia, kolana i rączki, ale uśmiech miał promienny.

- Kiedy będzie wolny?

- Sądzę, że niedługo.

- Czy ci wszyscy ludzie będą dzisiaj badani? - Panna Darraway z przerażeniem rzuciła okiem na zaintrygowanych jej widokiem pacjentów. Tilly przytaknęła ruchem głowy, na co lekceważąco machnęła ręką. - No cóż, musisz im powiedzieć, że nie będzie nas przez kilka godzin, bo mój ojciec zabiera nas na lunch.

Z poczekalni dobiegł jęk zawodu. Tilly zastanawiała się, czy jest sens tłumaczyć pannie Darraway, że na miejsce obecnych tu ludzi szybko zjawia się następni. Jej lunch z doktorem składał się z filiżanki bulionu i kromki chleba, do tego był zjadany w pośpiechu w obecności pacjentów.

Uznała, że będzie lepiej, jeżeli tę wiadomość przekaże im osobiście doktor Fleet. Wkładała z powrotem ścierkę do wiadra, gdy mały Tommy wyrwał się matce.

- Nasz Tommy garnie się do pani, panienko - zawołała pani Knox, obdarzając pannę Darraway bezzębnym, ale życzliwym uśmiechem. - Jeśli panienka chce, może wziąć go na ręce. Nie rozryczy się. Tommy jest grzecznym chłopaczkiem.

- Och! - krzyknęła skonsternowana Rosalind i cofnęła się błyskawicznie, żeby dziecko nie mogło jej dosięgnąć. - Gdzie mogę się przebrać? - zapytała szybko.

Tilly pokazała drzwi w głębi korytarza.

- Komórka przy kuchni jest ciepła i ma lustro na ścianie.

Rosalind prychnęła.

- Obawiam się, że nie skorzystam. Powiedz, proszę, doktorowi Fleetowi, że zajmę chwilowo jego pokój. - Pobiegnęła na górę.

- Chryste, czy to Jej Wysokość złożyła nam wizytę? - zachichotał Fred Larkins.

- Ale nie podała ci ręki do pocałunku, Freddy - zażartowała pani Knox. - Mógłbyś zwędzić jej pierścionki.

Jeszcze nie umilkły żarty i śmiech, gdy zjawił się doktor.

- To miło, że moi pacjenci mają poczucie humoru - uśmiechnął się, nieświadomy przyczyny wesołości. - Kto następny?

- My, faceci, chcemy zaczekać na nową pielęgniarkę - zażartował Fred Larkins.

- Ma na myśli pannę Darraway - wyjaśniła zakłopotana Tilly.

- Właśnie poszła na górę zrobić sobie filiżankę herbaty i zmienić suknię - dodała pani Knox. - Mam nadzieję, że zrobi pan z tym porządek, doktorze!

Doktor Fleet szybko wrócił do gabinetu. Tilly udała się za nim.

- Chciałbym, żeby pani pokazała pannie Rosalind, gdzie co się znajduje.

A teraz proszę wezwać następnego pacjenta.

- Wygląda na to, że ta nowa pannica za grosz nie ma serca do dzieciaków - powiedziała od progu pani Knox.

- Na pewno się do nich przyzwyczai - odpowiedział doktor Fleet, gdy pani Knox usiadła wygodnie na krześle. - Co dolega temu młodemu człowiekowi?

- Sama chciałabym wiedzieć, doktorze. - Wyjęła dziecko z pieluszki i położyła malca na kolanach doktorowi, który ostrożnie go objął i przystąpił do badania krost. - Czy pan wie, że pod pańskimi drzwiami ustawiała się długa kolejka krzepkich facetów? I że wszyscy czekają na pojawienie się Jej Królewskiej Wysokości? - Doktor udawał, że nie słyszy. - Mam nadzieję, że ma żelazne nerwy, na wypadek gdyby zaczęli spuszczać spodnie - ciągnęła niezrażona pani Knox. - Mogłaby nie przeżyć szoku, gdyby przyszedł tu mój stary.

Tilly stłumiła wesołość, słysząc ten komentarz, ale nie opanowała śmiechu, kiedy Tommy doszedł do wniosku, że przyszła pora, by ulżyć małeńkiemu pęcherzowi prosto na czyste spodnie doktora.

W końcu tygodnia przysłano ze szpitala New Cross potwierdzenie, że Grace ma dyfteryt. Tilly zrobiła to, co zawsze podczas wybuchu epidemii, to znaczy przygotowała miskę z wodą ze środkiem odkażającym i postawiła ją na stole w przejściu do gabinetu. Skrupulatnie doglądała, by pacjenci myli ręce, a sama nieustannie wszystko czyściła i szorowała, żeby zapobiec zarażeniu.

Rosalind Darraway, a raczej siostra Darraway, jak kazała się nazywać, unikała jak ognia bliższego kontaktu z chorymi, pielęgnując tylko swoją niedołączną ciotkę. Większość czasu spędzała na górze w mieszkaniu doktora,

zajmując się „korespondencją”, o ile nie szła na lunch ze swoim ojcem, sir Joshua Darrawayem.

Sir Joshua mieszkał z żoną i dwiema córkami na wsi, ale przyjeżdżał do stolicy, żeby odwiedzić siostrę, ową schorowaną ciotkę, z którą mieszkała Rosalind. Wtedy na Tilly spadały dodatkowe obowiązki. Paliła na piętrze, żeby Rosalind mogła się przebierać w ciepłym pomieszczeniu, zanosila jej gorącą wodę oraz coś orzeźwiającego do picia. Nie trzeba mówić, ile wysiłku kosztowały ją te dodatkowe obowiązki.

Drobną pociechą był fakt, że doktor Fleet nie mógł towarzyszyć Rosalind w takich razach.

W piątek wieczorem, kiedy była w kuchni, gdzie sterylizowała instrumenty i prała płótna na bandażę, których używała w ciągu dnia, zjawił się doktor.

- Nie widziała pani Rosalind, Tilly?

- O ile mi wiadomo, jeszcze nie wróciła.

- Dokąd wyszła? - Zdawał się nieświadomy jej bogatego życia towarzyskiego.

- Dzwonił do niej ojciec.

- Ach, tak... oczywiście. - Pokiwał głową. - Rzecz w tym, że gdzieś zapodziała mi się karta Stanleya Horna.

- Czy ma ją panna... hm... siostra Darraway?

- Tak... miała mi przepisać kilka stron. Podejrzewam, że karta mogła zawieruszyć się wśród korespondencji. Jak znam życie, sama się znajdzie.

Tilly co wieczór sprzątała biurko po Rosalind. O ile dotąd doktor gromadził na nim swoje materiały naukowe, o tyle teraz leżały na nim tylko czasopisma z modą.

- Stanley Horn ma zakażenie nogi - ciągnął ponurym głosem. - Zapisalem mu maść, ale efekt jest niewielki, dlatego chciałem przejrzeć ponownie jego kartę...

- Doktor Tapper przepisuje zawsze balsam jamajski - powiedziała Tilly bez namysłu.

- Ma pani na myśli jedno z jego „lekarstw”?

- To tylko maranta, naprawdę. Rozgotowana i starta na papkę - perorowała Tilly. - Roślina pochodzi z Indii Zachodnich i ... hm... znana jest z tego, że leczono nią rany wojowników indiańskich.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Wojowników indiańskich? - wykrztusił. - Ale teraz mamy tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy rok, Tilly! Żyjemy w dwudziestym wieku, w samym sercu światowej metropolii, a nie na Dzikim Zachodzie! - Przeczesał palcami ciemne włosy. - Proszę przynieść świeże bandaże i gorącą wodę. Proszę też, żeby nie podnosiła pani tematu tych... preparatów... w obecności pana Horna! Już i tak miałem problem z przekonaniem go do innego lekarstwa! - Odwrócił się i wymaszerował.

Tilly nastawiła czajnik i wyjęła paczkę świeżych bandaży z szuflady. Jak wytłumaczyć młodemu doktorowi, że pacjenci ufają doktorowi Tapperowi i wierzą w stosowane przez niego metody? Czasami takie metody skutkują, a czasami nie. Ale z braku innej możliwości - bo ta „inna możliwość” jest zwykle bardzo kosztowna, czyli niedostępna - wybór należy do chorego. Poza tym, oprócz pewnej ulgi, doktor Tapper daje ludziom nadzieję, której mają tak mało, choć bardzo jej potrzebują.

W następnym tygodniu odnotowano szereg przypadków dyfterytu w Poplar, osadzie położonej najbliżej Psiej Wyspy, często odciętej od niej z

powodu wysokiej fali przyływu na Tamizie. Opowiadano o dantejskich scenach przy przeprawie ambulansów przez zwodzone mosty.

Wkrótce na wszystkich ulicach czuć było fenolem. I znów, co często powtarzał doktor Tapper, ludzie z East Endu sprawdzali się w sytuacji kryzysowej.

Pomimo jej wysiłków, wszystkie dzieci Tilly były przeziębione. Frank uparł się, żeby iść do pracy, jako że grudzień to jeden z najlepszych miesięcy handlowych, ale dziewczynkom kazała zostać w domu.

W jedną z szarych sobót, po porannym dyżurze, doktor powiadomił Tilly, że wuj opuszcza Londyn i udaje się do Bath.

- Zawiozę go na stację. Jeśli chce pani napisać do niego list, chętnie mu go przekażę.

Minęło prawie pięć tygodni od opuszczenia domu przez doktora Tappera i Tilly coraz bardziej niepokoiła się o swoją przyszłość. Nie była pewna jutra. Co będzie, jeśli doktor nie wróci do pracy?

- Może miałyby pani jutro trochę wolnego czasu? - przerwał tok jej myśli.
- Gdy wsadzę wuja do pociągu i upewnię się, że bezpiecznie odjechał, chciałbym... hm... trochę się porozglądać. Nie samochodem, ale pieszo. Zależy mi, żeby lepiej poznać wyspę.

Zdziwiona jego prośbą, zgodziła się chętnie.

- Wygospodaruję trochę czasu po południu.

- Bardzo dziękuję, naprawdę dziękuję. Nie będę pani zatrzymywał, ale gdyby chciała pani napisać list do wuja, chętnie mu go przekażę.

- Wrzucę go wieczorem do skrzynki - odpowiedziała i udała się do domu.

W liście opisała wszystko, co mogło podnieść na duchu doktora Tappera, ale na koniec nie wytrzymała i skreśliła kilka zdań o tym, jak bardzo za nim tęskni.

Wieczorem zaniósła list do skrzynki. Pogoda była mglista. Gęsta rzeczna mgła zmieszana z dymem z kominów spowiła światło latarni, wirowała na chodniku, zakrywała drzwi i okna. Tilly właśnie stanęła na ostatnim stopniu schodów prowadzących z sutereny, kiedy pod dom podjechał samochód. Po chwili wysiadła z niego panna Darraway. Na moment mgła zelżała i Tilly dostrzegła wieczorową lśniącą suknię Rosalind, częściowo przykrytą krótką srebrną pelerynką z futrzanym kołnierzem. Towarzyszył jej starszy pan w pelerynie i w cylindrze.

Drzwi Domu pod Tawerną otworzyły się i na progu stanął Harry Fleet. Strumień światła wylał się na ulicę. Serce Tilly zaczęło bić szybciej, kiedy doktor wyszedł im naprzeciw i przywitał się. On także był ubrany w wizytowy wieczorowy strój. Po chwili Rosalind znalazła się w jego ramionach i całowała go w policzek.

Tilly wróciła do sutereny. Nie chciała, żeby zobaczono ją w nędznym płaszczu i w tych samych pantoflach, które nosiła w pracy. Wstydziała się swojego wyglądu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Harry przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Zmienił flanelowe spodnie na ciemnoszary garnitur, który wraz z płaszczem mającym chronić przed listopadowym wiatrem wydał mu się stosownym strojem na przechadzkę. Na szczęście znikła wczorajsza gęsta mgła, a zza chmur czasami wyglądało słońce, co przypominało początki wiosny. Wcześniej odwiózł wuja na dworzec. Znalazł wygodny przedział, a w Bath odbierze starego doktora kierowca i zawiezie do domu, gdzie czekać będzie gorący posiłek.

Wracając przez Londyn na East End, zastanawiał się nad stanem zdrowia wuja. Badania szpitalne trwały długo i były wyczerpujące. Doktor Wolf zapisał nową kurację składającą się z tabletek, która powinna przynieść długotrwałą poprawę. Najważniejsze, że wuj William dobrze się czuje i jest optymistycznie nastawiony.

Harry skrzywił się na widok ponurej twarzy spoglądającej na niego z lustra. Pomyślał o niezręcznej i skomplikowanej sytuacji, która wytworzyła się między nim i Tilly. Zaprzętała jego myśli jak żadna kobieta dotąd. Kiedy patrzył w jej piękne oczy, robiło mu się ciepło na sercu. Było w niej coś, co go bardzo pociągało, chociaż odnosiła się do niego podejrzliwie. Starał się, jak mógł, rozwiać jej obawy, ale był w rozterce. Nie wiedział, jak do niej podejść, a jednocześnie urzeczony był wdziękiem i siłą jej charakteru. Wiedział, dlaczego wuj tak ją cenił i hołubił, ale będzie musiał jakoś ją delikatnie przygotować, chociaż ani on, ani wuj nie byli w stanie podjąć decyzji co do przyszłości. Jednak przyzwoitość wymaga, żeby Tilly zapoznała się z sytuacją. W grę wchodziło jej mieszkanie, nie mówiąc już o dzieciach!

Co się stanie z tymi trzema duszyczkami? - zastanawiał się mocno zakłopotany. Wuj William szczegółowo opisał mu sytuację Tilly. Była sierotą i miała bardzo ciężkie życie. Nic dziwnego, że tak jej leży na sercu los tych dzieci. Co nie zmienia faktu, że trzeba coś z nimi zrobić. Chciał jej pomóc w rozwiązaniu problemu, a ponieważ sprawa była nad wyraz delikatna, musiał działać bardzo ostrożnie. Czuł, że Tilly jest dumna i wrażliwa. Co zrobić, żeby uwierzyła w szczerą intencję?

Zbiegł po schodach z uśmiechem na ustach.

Czy gdyby zobaczył go teraz sir Joshua, nadal widziałby go w charakterze potencjalnego zięcia? Wczorajszy wieczór spędził w Ritzu, w świecie różniącym się diametralnie od pogrążonych w nędzy ulic East Endu. Jadł kolację w towarzystwie Rosalind i jej rodziny, kiedy otrzymał propozycję. Sir Joshua kupił właśnie na licytacji pewne nieruchomości, w tym okazały dom na wsi, i dał do zrozumienia, że część budynku można by zaadaptować na gabinet. Dom i lukratywna praktyka lekarska pod jednym dachem. Pomysł godny uwagi, uznał Harry, ale pod warunkiem, że ożeni się z Rosalind.

Tylko czy ją kocha? Jest zabawna i lubi jej towarzystwo, a ich rodziny pozostają w dobrych stosunkach. Przed wojną jego nieżyjący już ojciec był prywatnym lekarzem Darrawayów.

Żył się wtedy dobrze, a przyszłość jawiła się świetlana. Przynajmniej dla niego. Był świadkiem masakry na polu walki we Francji, widział umierających ludzi, a co gorsza, widział ich porozrywane ciała, zanim skonali. Jako młody i niedoświadczony lekarz stażysta zgłosił się na ochotnika na front. Cudem przeżył koszmarne dni we francuskich okopach. Nie potrafił tego zapomnieć. Od tamtego czasu minęło dziesięć długich lat, a on stale podróżował i angażował się w różnych miejscach na świecie, próbując wymazać z pamięci obrazy wojny.

Obecnie ma trzydzieści dwa lata, lecz widma przeszłości nadal go prześladują.

Praca była dla niego wyzwoleniem, jednak jak długo będzie przemierzać świat, żeby wykreślić z pamięci, ze swego życia te tragedie? Czy potrafi się ustatkować i zamieszkać na wsi z Rosalind jako żoną? Zostać lekarzem rodzinnym jak kiedyś jego ojciec?

Zszedł na dół, wyprostował ramiona i głęboko odetchnął, zanim otworzył drzwi.

Poprawił kapelusz i wyszedł z domu.

Nie mógł doczekać się spotkania z Tilly.

Idąc Westferry Road, doszli do Totnes Cottages, dzielnicy szeregowych walących się domów. W jednym z nich mieszkał Charlie Atkins. Doktor przystanął i z niedowierzaniem przyglądał się postępującej dewastacji. Ponad dachami las masztów wznosił się ku niebu.

- Rzeka płynie tak blisko, więc nic dziwnego, że domy są zalewane - powiedziała Tilly. - Niektórzy mieszkańcy wyprowadzają się po powodzi i czekają, aż dom wyschnie, ale pan Atkins nie ma krewnych.

- Sytuacja godna ubolewania - przyznał doktor. - I fatalna dla zdrowia! Zwłaszcza że dotyczy tak wielu ludzi. - Wskazał ruchem głowy na pierzchające tu i ówdzie włochate gryzonie.

- W tej okolicy obecność szczurów nikogo nie dziwi. - Tilly wzruszyła ramionami. - Kiedy jest ich już tak dużo, że nie da się ich wybić, zjawia się szczurołap z psem. Wkrótce potem woda znosi je z powrotem. Można nawet zobaczyć, jak skaczą na dachy domów na nabrzeżu, gdy żaglowce podchodzą aż do ścian i ich bukszpryty wiszą nad dachami. A swoją drogą galiony są przepiękne, a dźwięki wydawane przez żagle łopoczące na wietrze brzmią jak orkiestra. Niezapomniany widok!

- Chce pani powiedzieć, że można rzece wybaczyć jej okrucieństwo?

- Niewielu jest takich, co narzekają - odparła z uśmiechem. - Nawet takim ludziom jak Charlie Atkins wystarczy do szczęścia to, co dostaje od doktora Tappera... i życie toczy się dalej.

Szli wolnym krokiem wzdłuż domów czarnych od dymu, mijali fabryczne kominy i bocznicę kolejową wzdłuż betonowych podwórz z praniem suszącym się na sznurach. Wszystko opasane rzeką i tętniącą życiem żegluga portową. Gdy zatrzymali się przy bramie doku, Tilly wskazała mały kamienny plac, na którym odbywała się selekcja ludzi do pracy przy rozładunku. Nie każdy miał szczęście...

- Czy nie istnieje nic takiego jak gwarancja zatrudnienia? Stała, bezpieczna praca? - zapytał doktor.

- Strajki i bezrobocie zaostrzyły konkurencję na rynku pracy nawet przy niskopłatnych zajęciach - wyjaśniła. - Najbardziej zdesperowani mężczyźni, tacy, co mają do wykarmienia liczną rodzinę, imają się wszystkiego i na ochotnika zgłaszają się do pracy na statkach, które przewożą surowe skóry, bardzo często zanieczyszczone zarodnikami węgla.

- I władze portowe wpuszczają taki skażony towar na ląd?

- Ładownie zostają opróżnione, a skóry spalone, ale dla tych, którzy je przewozili, jest już za późno.

Przeszli koło domu, w którym na poddaszu gnieździł się Noah Symes ze swoją babką, a także obok gwarnej, przeludnionej szeregowca, gdzie mieszkała rodzina Mountów.

Kiedy zaszło słońce, Tilly otuliła się ciepłym szalem i włożyła rękawiczki, które otrzymała w prezencie od lady Felicity Hailing, jej poprzedniej pracodawczyni.

- Zimno? - zapytał doktor.

- Nie, już jest dobrze.

- Może powinniśmy wracać?

- Zajrzyjmy jeszcze w jedno miejsce - zaproponowała. - To tylko parę minut stąd. Z Island Gardens można podziwiać piękny widok na Południowe Nabrzeże. Nie pożałuje pan.

Z uśmiechem podał jej ramię.

- Proszę więc mocno się oprzeć.

Bez sprzeciwu przyjęła jego propozycję. Alejką parkową doszli nad brzeg rzeki. W świetle zachodzącego słońca panorama spowitego we mgle obserwatorium w Greenwich i otaczającego go ogrodu zapierała dech w piersi.

- Często pani tu przychodzi?

- Niestety nie - przyznała z żalem - ale kiedy mieszkałam w sierocińcu, przyprawiałam tu dzieci. Siostry uważały, że słone powietrze dobrze im robi.

- Mądre kobiety. Sól jest ważnym elementem diety. A pani jest tego najlepszym dowodem. - Przyglądał jej się bardzo uważnie. - Tilly, może nadeszła chwila, żebyśmy poruszyli pewien drażliwy temat. Chodzi o mojego wuja.

Puściła jego ramię.

- Co się stało?

- Doktor Wolf stwierdził, że wuj przeszedł wcześniej kilka małych udarów. Tak zresztą podejrzewałem, kiedy znaleźliśmy go na podłodze. Domyśliłem się również, że wuj, jako doświadczony lekarz, doskonale o tym wiedział.

- To dlaczego nam o tym nie wspomniał? - spytała z rozpaczą.

- Oboje wiemy, jaki jest niezależny. Doskonale rozumiem, że chciał zachować tę informację dla siebie.

Poczuła, jak lodowata obręcz ściska jej serce.

- Czy jest bardzo chory?

- Powiedzmy raczej, że jego zdrowie jest nadwyreżone, dlatego musi na siebie uważać, a zwłaszcza nie przemęczać się.

- Czy on...? Czy będzie mógł...?

- Kiedykolwiek pracować? - Wzruszył ramionami. - Najwyżej w niewielkim zakresie. Obawiam się, że presja związana z naszym zawodem przekracza jego siły.

- Tak mi przykro...

- Martwi się pani o niego, prawda?

- Był dla mnie jak ojciec. - Głos uwiązł jej w gardle.

- Na razie będę go zastępował, a gdy poczuje się lepiej, sam zdecyduje, co dalej. Skądinąd wiem, jak bardzo leży mu na sercu dobro pani i pacjentów.

Tilly w milczeniu pokiwała głową.

- Chyba powinniśmy powoli wracać. - Ponownie podał jej ramię.

Kiedy dotarli do Domu pod Tawerną, było już ciemno. Doktor towarzyszył jej do drzwi sutereny i czekał, aż je uchyli. Powitały ich trzy wyszorowane i lśniące od czystości twarze.

- Molly zrobiła pyszną herbatę - wyrwała się Cessie. - A Frank napalił w kominku.

Molly przytaknęła ruchem głowy.

- Upiekłam nową tartę, panno Tilly. I nie spaliłam tym razem.

- Przyniosłem trochę kasztanów - dodał Frank, odsuwając siostry i otwierając drzwi na oścież. - A pani Shiner z warzywniaka dała mi butelkę portera dla doktora.

- Czy wejdzie pan do środka, doktorze Fleet? - Cessie popatrzyła do góry na wysokiego, ciemnookiego mężczyznę, stojącego niezdecydowanie na progu.

- Cessie, pan doktor ma na pewno wiele ważnych spraw do załatwienia - upomniała ją Tilly.

- Ależ nie! - ucieszył się Harry. - Chętnie skuszę się na tartę. - Posłał każdemu z nich jeden ze swoich rzadkich i olśniewających uśmiechów.

Nazajutrz podczas badania kostki Georgiego Parkera zjawiała się Rosalind.

- Tilly, powiedz doktorowi, że chcę się z nim jak najszybciej widzieć. Sprawa jest pilna - rzuciła w przelocie i zostawiając za sobą smugę zapachu kosztownych perfum, pobiegła na górę.

- O rany, wystarczyłoby tego na stado słoni - skomentowała jedna z kobiet.

- A może to jakiś nowy środek dezynfekujący - dodała inna.

- Lepsze to niż fenol - zauważyła jej sąsiadka.

- I lepsze od oddechu mojego starego - zaśmiała się następna.

Po wyjściu Georgiego z gabinetu Tilly przekazała doktorowi wiadomość od Rosalind. Z pewnym ociąganiem udał się na górę, a po powrocie poinformował Tilly, że jutro zje lunch w mieście w towarzystwie sir Joshui.

Koło południa, po względnie spokojnym poranku, pojawiły się problemy. Najpierw zachorowała Emily Tanner, u której doktor rozpoznał dyfteryt. Dziewczynkę przewieziono natychmiast do szpitala. Następnego dnia doniesiono o dwóch innych przypadkach groźnej choroby. Doktor był zmuszony odwołać lunch w mieście. Chcąc nie chcąc, Tilly stała się świadkiem ostrej wymiany zdań między nim i Rosalind.

- Ojciec specjalnie zaaranżował to spotkanie. - Przez uchylone drzwi gabinetu głos siostry Darraway rozbrzmiewał donośnie. - Wiesz, jak zapalił się do tego domu.

- Przykro mi, Rosalind, ale nie mogę ruszyć się z miejsca. Grozi nam epidemia.

- Jestem pewna, że przesadzasz, a przecież chodzi o naszą przyszłość, jak ci zapewne wiadomo. Poza tym mieliśmy ustalić termin zaręczyn.

Tilly podeszła do drzwi i zamknęła je. Powiodła wzrokiem po rzędzie milczących twarzy. Nie miała cienia wątpliwości, że słyszeli każde słowo, a wkrótce ta prywatna rozmowa rozniesie się lotem błyskawicy.

Po tym, co usłyszała, czuła się nieswojo. Wynikało jasno, że doktor Fleet i panna Rosalind zamierzają się pobrać i wkrótce przeniosą się na wieś, gdzie doktor rozpocznie prywatną praktykę dla bogatych mieszkańców okolic. Ale najbardziej zmartwiła ją wiadomość o groźbie epidemii. Zrozumiała, że Harry Fleet spodziewa się najgorszego.

Przez kilka kolejnych dni gabinet był oblegany od rana do wieczora, a doktor nikogo nie odprawił z kwitkiem. Z doniesień prasowych wynikało, że do zakaźnego szpitala trafiły cztery kolejne ofiary choroby.

W jeden z listopadowych poranków, gdy mgły spowiły świat, Tilly poczuła się bardzo dziwnie. Kaszlała i czuła ciężar w płucach.

- Proszę wracać do domu i położyć się do łóżka - powiedział doktor, gdy po kolejnym ataku kaszlu wytarła nos i kichnęła. - Poradzimy sobie z Rosalind.

Czuła się tak kiepsko, że nie oponowała.

- Zajrzę niedługo i zbadam panią - dodał, odprowadzając ją do drzwi.

Ledwie zasnęła w fotelu przy kominku, jak do domu wpadł Frank.

- Dobrze się pani czuje, panno Tilly? - Zdjął czapkę i szalik i ukląkł przy niej z zatroskaną miną.

- Jestem tylko przeziębiona, Frank.

- Na pewno?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się. - Co tak wcześnie?

- Wrócił chłopak, po którym dostałem pracę.
- I nie będą cię już potrzebować?
- Na pewno nie aż do Bożego Narodzenia. Proszę spojrzeć, dostałem zaległą wypłatę. Możemy kupić coś pysznego do jedzenia. - Wysypał monety na jej kolana.

Pogłaskała go po rękę.

- Dobry z ciebie chłopak, Frank. - A jednak martwiła się bardzo. Co się z nimi stanie, jeśli doktor Tapper nie wróci do pracy, a doktor Fleet wyjedzie? Sama mogła zatrudnić się gdziekolwiek, ale dzieci były bezdomne.

- Pomogę pani przenieść się na łóżko - zaproponował Frank z powagą dorosłego mężczyzny. Tilly uśmiechnęła się i wzięła go pod rękę. - A potem podam pani filiżankę dobrej herbaty.

Była tak strasznie zmęczona, że jego głos prawie do niej nie docierał. Momentalnie zapadła w głęboki sen.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez ponad tydzień Tilly leżała przykuta do łóżka. Miewała tak straszne napady kaszlu i mdłości, że nie mogła zatrzymać żadnego pokarmu i wszystko natychmiast zwracała.

Czasami miała wrażenie, że przebywa w innym świecie. W mrocznym świecie, pozbawionym głosów, w którym jednak dostrzegała ludzkie twarze. Chwilami odzyskiwała przytomność i znów zapadała się w ciemność. Podczas jednego z takich przeblysków zobaczyła stojącego nad nią doktora, który zmuszał ją do wypicia okropnego w smaku płynu. Zanim ponownie pogrążyła się w mroku, dotarło do niej jak przez mgłę, że jej żołądek nie przyjął lekarstwa i zwymiotowała je w całości.

Sny miała przerażające i niesamowite. Biegła wzdłuż Westferry Road i wołała dzieci, które na jej oczach odpływały statkiem podobnym do owych „statków zadzumionych”, na których przed wieloma laty izolowano ofiary zarazy. Dzieci także krzyczały coś do niej, ale nie słyszała słów. Chciała wskoczyć za nimi do mętnej zielonkawej wody, wyciągnęła ramiona, rzuciła się do zimnej rzeki i znikła pod powierzchnią...

- Tilly, Tilly! - Ktoś wołał jej imię. Podniosła ciężkie jak ołów powieki. - Jesteś bezpieczna. Nie toniesz!

- Zabierają dzieci - wymamrotała.

- Nie, nie zabierają - zapewnił ją doktor. - Masz, wypij łyżeczek. Tylko powoli.

Zimna woda miała smak górskiego strumienia.

- Od jak dawna... leżę... w łóżku?

- Od jakiegoś czasu. Byłaś chora.

- Na co?

- Na grypę. To był bardzo ciężki przypadek. - Otarł jej twarz wilgotnym ręcznikiem.

- Powinieneś być w gabinecie.

Uśmiechnął się i usiadł koło niej.

- Chcesz mnie wysłać do pracy o północy?

- Północ! - powiedziała chrapliwym głosem i próbowała usiąść, ale delikatnie ją przytrzymał.

- Leż spokojnie i odpoczywaj. - Wykręcił ręcznik, zanurzył znów w porcelanowej misce z zimną wodą i ponownie położył na jej czole.

- Miałaś bardzo wysoką gorączkę, ale dzisiaj wreszcie spadła i mam nadzieję, że będziesz już wracała do zdrowia.

- O Boże - jęknęła.

Uśmiechnął się.

- Co takiego?

- Tyle ze mną kłopotu.

- Nie, choć przyznam, że bardzo się niepokoiłem.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Najlepiej nic nie mów... choć to dla ciebie nie takie łatwe, ale chociaż spróbuj. Póki nie nabierzesz sił.

Uśmiechnęła się. Była bardzo zmęczona, ale w przyjemny sposób.

- Odpoczywaj. Sen jest najlepszym lekarzem.

Zamknęła oczy. Tym razem zapadła się w jedwabną białą otchłań.

Harry zdjął płaszcz i usiadł w fotelu przy kominku. Ledwie wszedł do pustego i ciemnego domu, a już tęsknił za Tilly. Spędzał z nią i z dziećmi każdą wolną chwilę. Poznał całą trójkę z najlepszej strony, a Franka uważał za wyjątkowo prawego młodego człowieka.

Coraz bardziej podziwiał Tilly, imponował mu jej hart ducha i wspaniały charakter. Była piękna, a kiedy spała, rzucając się i przewracając na boki podczas walki z chorobą, pragnął wziąć ją w ramiona, pocieszać i szeptać do ucha, że nigdy jej nie opuści. Zamiast tego czuwał przy jej łóżku, robił wszystko, żeby obniżyć gorączkę, i ze względu na dzieci zachowywał się ze wszech miar profesjonalnie. Dopiero kiedy szły spać, brał ją za rękę i wypowiadał szeptem swoje myśli.

Przebudziła się gwałtownie. Nos Cessie znajdował się trzy centymetry od jej twarzy.

- Bałam się, że umarłaś.

- Nie - zapewniła dziewczynkę, siadając na łóżku. - Jak widzisz, mam w sobie jeszcze mnóstwo życia.

Cessie wybiegła, po chwili wróciła z Molly. Niosły dzbanek z wodą i szklankę.

- Tak bardzo się cieszę, że jest ci już lepiej - powiedziała Molly, kiedy nalewały wodę do szklanki i podawały ją Tilly.

- Ja też się cieszę. - Cessie pokiwała głową. - Byłaś naprawdę bardzo chora.

- Tak twierdzi doktor - zgodziła się Tilly, popijając wodę.

- Przychodził tu codziennie, rano i wieczorem. Bał się, czy nie złapałaś dyfterytu, ale grypa w tym roku też była groźna i zabiła sporo ludzi.

- Widzę, że jesteście świetnie poinformowane.

Dziewczynki zgodnie pokiwały głowami.

- Frank powtarza nam wszystko, czego dowiaduje się od doktora.

- Jak to? - zdumiała się Tilly.

- Frank mu pomaga - wyjaśniła z dumą Molly. - A doktor Fleet kupił mu nowe spodnie i białą koszulę i powiedział, że świetnie się spisuje.

Dziewczynki rozsiadły się na łóżku i zaczęły opowiadać o wszystkim, co zdarzyło się, kiedy była nieprzytomna. Słuchała ich paplaniny z błogim uśmiechem.

Włożyła ciepły szlafrok i usiadła przy kominku. Była jeszcze słaba, nogi miała jak z waty, ale nie powiedziała tego dzieciom, bo zagnałyby ją z powrotem do łóżka. Pozwalała im krzątać się koło siebie, zaznaczając, że już niedługo przejmie swoje obowiązki. Molly zapewniała, że Frank świetnie sobie radzi. Zajmuje się domem, pilnuje, żeby odrabiały lekcje, no i pomaga doktorowi, więc jak tak dalej pójdzie, zamieni się w prawdziwego dyktatora. Tilly uśmiechnęła się. Wiedziała, jak bardzo są dumne z brata.

Po powrocie Franka z gabinetu przekonała się na własne oczy, jak szykownie wygląda w białej koszuli i w eleganckich spodniach. Pachniał silnie fenolem. Przyglądził kręcące się rude włosy brylantyną i wyglądał znacznie poważniej. Tilly musiała przyznać, że w nowym wydaniu prezentuje się znakomicie.

- Podobnie jak pani, pomagam przy pacjentach - objaśniał Frank, sadowiać się przy niej. - Pilnuję, żeby myli ręce i nie oddychali jeden na drugiego.

To ostatnie wywołało chichot dziewczynek.

- Powinieneś pozwolić im oddychać, Frank, bo inaczej umrą!

- Głupie kozy.

- Tylko nie kozy - oburzyła się Cessie.

- Lepiej zajmijcie się kolacją - zaśmiał się Frank, pociągając je za warkocze. - Tylko patrzeć, jak przyjdzie doktor Fleet.

- Doktor Fleet? - zdziwiła się Tilly.

- Tak, panno Tilly. Od czasu pani choroby nie opuścił ani jednego wieczoru. Zjawiał się tutaj od razu po wyjściu ostatniego pacjenta i opiekował

się panią. Czasami, kiedy przysypiał ze zmęczenia, dziewczynki częstowały go kolacją. Molly robi już całkiem przyzwoite tarty.

Tilly zaczerwieniła się.

- No cóż, to bardzo ładnie z jego strony. - Wyprostowała ramiona. - Ale teraz czuję się lepiej i nie chcę nikomu sprawiać kłopotu.

Frank podrapał się po głowie.

- Nie myślę, żeby to był dla niego kłopot.

- Są jakieś wiadomości o Grace i Emily? - zmieniła temat.

- Doktor mówi, że ich stan jest stabilny.

To dobry znak, pomyślała Tilly, ponieważ najniebezpieczniejsze są pierwsze tygodnie.

- A jak tam Rosalind... to znaczy... siostra Darraway?

- Ośmielę się powiedzieć, że się nie przepracowuje. Większość czasu spędza na górze, przeważnie coś pisze i czeka na starszego pana. Prawdę mówiąc, mógłby się tutaj nie kręcić, bo tylko przeszkadza. W tym tygodniu jakiś ulicznik rzucił kamieniem w jego samochód.

- Chryste Panie!

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Frank i dziewczynki pobiegli je otworzyć.

- Tilly, jakże się cieszę, że wstałaś! - powitał ją doktor z uśmiechem.

Podniosła się, żeby go przywitać, ale zakręciło jej się w głowie. Harry ujął jej dłonie i posadził z powrotem w fotelu.

Po wyjątkowo dobrej kolacji przygotowanej przez dziewczynki Frank oznajmił, że sami pozmywają naczynia.

- Posiedzi sobie pani z panem doktorem przy kominku - zdecydował za nich.

- Kiedy ja już naprawdę czuję się dobrze - zaprotestowała Tilly, ale doktor wziął ją za ramię i poprowadził w stronę fotela.

- To dla nich prawdziwe szczęście, że mogą ci dogadzać! Proszę im nie odbierać tej przyjemności. - Pochylił się, żeby dorzucić węgla na ogień, po czym usiadł koło niej. - Będę nalegać, żebyś nie wychodziła z domu jeszcze przez parę dni. Proszę nie zapominać, że mam nowego pomocnika. Frank to wyjątkowo zdolny chłopiec. Zastanawiałem się nawet, czy go nie zatrzymać. Mógłby po twoim powrocie pomagać przy cięższych zajęciach, oczywiście za twoją zgodą.

Wiedziała, że Frank jest z siebie bardzo dumny i że taki awans go podbuduje.

- Jestem pewna, że będzie uradowany - odpowiedziała.

Przez chwilę nasłuchiwali w milczeniu radosnego gwaru dochodzącego z kuchni. Kategorieczny ton Franka przerywany był śmiechem dziewczynek. Tilly zapatrzyła się w trzaskający wesoło ogień w kominku. Lubiła, kiedy dzieci były w pobliżu, a kiedy Harry Fleet wyprostował długie nogi i założył jedną na drugą, ogarnęło ją uczucie błogości.

Po chwili Cessie i Molly usadowiły się przed kominkiem, a Frank przyciągnął sobie jedno z krzeseł z jadalni. Rozprostował plecy i założył nogę na nogę w taki sam sposób jak doktor.

- Może byśmy zaśpiewali kolędy? - zapytała Molly.

- Tak... tak... - podchwyciła Cessie.

Tilly pokiwała głową z aprobatą. Uwielbiała tę porę roku. W ciągu pół godziny zaśpiewali wszystkie kolędy, jakie znali: „Cicha noc”, „Anioł pasterzom mówił” i inne. Kiedy skończyli, dziewczynki biły brawa, a Frank poszedł zaparzyć herbatę.

Tilly uznała ten wieczór za wydarzenie sezonu.

W nocy, mimo że bardzo się starała, nie mogła zasnąć. Leżała i rozpamiętywała te radosne chwile. Poczwała się częścią rodziny, mimo iż zdawała sobie sprawę, że to tylko jej pobożne życzenie.

Wróciła do pracy w pierwszy poniedziałek grudnia. Na biurku czekał na nią list od doktora Tappera.

Tilly, drogie dziecko,

Dowiedziałem się od Harry'ego, że przeszłaś ciężką gripę. Mam nadzieję, że już jest dobrze, niemniej nalegam, żebyś się nie przemęczała i uważała na siebie. Jak widzisz, łatwo jest radzić innym!

Przepraszam, że nie pisałem tak długo. To bardzo nieładnie z mojej strony. Na usprawiedliwienie powiem tylko, że czekałem z tym listem na chwilę, kiedy będę miał dla ciebie dobre wiadomości. Myślę, droga Tilly, że teraz mogę już śmiało powiedzieć, że czuję się prawie jak za dawnych czasów. Domyślam się, że chciałabyś poznać moje plany na przyszłość. Otóż jestem jak najlepszej myśli, ale na razie, żeby nie zapeszyć losu, powiem tylko, że Opatrzność zdaje się czuwać nad nami wszystkimi.

Obiecuję, że niedługo napiszę. Bądź zdrowa i dbaj o siebie.

Życzę ci jak zawsze wszystkiego najlepszego

doktor Tapper

Przez cały dzień nie rozstawała się z listem. Postanowiła odpisać jeszcze tego samego wieczoru.

Frank okazał się pojętnym pracownikiem i w gabinecie panował wzorowy porządek. Chłopiec krzątał się i we wszystkim starał się ją wyręczać.

Zbliżały się święta, więc Tilly postanowiła pójść na targ, który o tej porze roku był prawdziwą atrakcją, szczególnie dla dzieci. Nie miała pieniędzy na

zakupy, ale chciała, żeby dziewczynki obejrzały stragany udekorowane kolorowymi bombkami, gałęziami jemioli i ostrokrzewu i poczuły radosną atmosferę zbliżającej się Gwiazdki. Miał im towarzyszyć Frank, który chciał się spotkać z poznanymi tu kolegami.

- Doktor mówi, że jeszcze nigdy nie był na targu - powiedział podekscytowany.

- Powiedziałeś mu, że się wybieramy? - zdziwiła się Tilly.

- Tylko napomknąłem.

- Wątpię, żeby to go zainteresowało.

- Jak najbardziej - włączył się do rozmowy doktor, który właśnie wyszedł ze swojego pokoju. - Chcę coś kupić na święta. Kiedy Frank wspomniał o targu, pomyślałem, że w takim miejscu znajdę wszystko.

Targ tętnił życiem. Stragany przyciągały wzrok kolorowymi bombkami, które błyszczały w bladym świetle popołudniowego słońca, a girlandy jemioli i ostrokrzewu z jaskrawoczerwonymi jagodami cieszyły oko. Czuło się, że święta są za pasem.

Frank zniknął z kolegami, a dziewczynki rzuciły się do straganów z zabawkami, słodyczami i przeróżnymi grami. Każda miała po sześć pensów kieszonkowego, które dostały w prezencie od doktora Fleeta, i nie mogły się doczekać, żeby wydać chociaż troszeczkę.

Tilly i doktor powędrowali zatłoczonymi uliczkami targowymi. Początkowo szli w milczeniu. Tilly zastanawiała się, co sprawia, że od pewnego czasu czuje się nieswojo w jego towarzystwie. Dlaczego jest taka sztywna i spięta?

- Nie zjadłabyś czegoś? - zapytał, kiedy przechodzili obok stoiska z tradycyjnymi bitkami wołowymi z puree ziemniaczanym w sosie z jarzyn.

- Nie, dziękuję, niedawno jedliśmy.

Wskazał ruchem głowy na węgorza w galarecie, na małże i ślimaki wyłożone na emaliowanych tackach.

- A może to cię zainteresuje?

Uśmiechnęła się.

- Czasami w niedzielę jemy małże na podwieczorek. Dziewczynki lubią wyłubywać miękisz szpilką.

- Będę musiał wypróbować tę metodę. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale może nie tutaj.

Mężczyzna na wózku inwalidzkim sprzedawał wstążki, tasiemki i sznurowadła. Czytając kartkę przyczepioną do jego krzesła, doktor spoważniał.

- Weteran wojenny - powiedział bez emocji. - Biedak. Stracił obie nogi.

- Ciężko borykają się z życiem. - Tilly pokiwała głową. - Często sprzedaż z wózków jest jedynym sposobem na utrzymanie rodziny.

- Chciałbym dać mu zarobić. - Doktor pogrzebał w kieszeniach. - Pomożesz mi wybrać coś, co nada się na prezenty, Tilly?

Mężczyzna poruszał sinymi z zimna palcami.

- Jaki kolor wstążek byłby najlepszy? - zapytał doktor, zatrzymując się przy krześle.

- Czerwone i zielone pasują dla starszej pani, różowy dla młodszej - oznajmiła Tilly, zastanawiając się, czy chodzi o prezent dla Rosalind.

Doktor Fleet dumiał przez chwilę.

- Wezmę wszystkie, dobry człowieku. - Włożył trzy srebrne monety do pudełeczka.

- Dziękuję, wielmożny panie.

- To ja dziękuję panu. - Doktor pochylił się, żeby doczytać napisaną ręcznie kartkę leżącą na tacce. - Widzę, że byłeś nad Sommą?

- Tak, panie.

- I tam straciłeś nogi?
- Tam... choć nie od moździerza, tylko z chłodu i wilgoci w okopach.
- Odmrożenie nóg. - Harry Fleet pokiwał głową. - Okropna sprawa.
- Skąd pan to wie?
- Jestem lekarzem, miałem do czynienia z takimi przypadkami.
- Był pan nad Somma?
- Nie. Pod Verdun.

Na twarzy mężczyzny pojawiły się podziw i szacunek.

- Więc proszę zatrzymać swoje pieniądze. Wszyscy, którzy przeszli przez to piekło, są dla mnie bohaterami.

- Zapewniam, że nie było nic bohaterskiego w tym, co usiłowałem robić. Niewiele mogłem uczynić dla tych nieszczęśników, najwyżej parę słów pociechy. Mizerna to jałmużna dla konającego człowieka.

Twarz mężczyzny zachmurzyła się.

- Właśnie taki człowiek jak pan amputował mi nogi i tylko dzięki niemu wróciłem do żony i dzieci. Będę mu za to wdzięczny do grobowej deski, choć czasem się zastanawiam, czy warto było oddać za kraj pół ciała. - Wyciągnął rękę. - Chciałbym uścisnąć pańską dłoń.

- Będę zaszczycony, mogąc uścisnąć pańską.

Tilly przyglądała się w milczeniu tej scenie.

Z nieba znikł ostatni promień słońca. Z jednej strony wysoki, elegancko ubrany młody człowiek, z drugiej biedny inwalida. Jednakowo zwarte oczy i dłonie. Rozumieli się bez słowa!

Potem doktor wziął wstążki i sznurowadła i ostrożnie wsunął je do kieszeni. Weteran wojenny ruszył swym wózkiem i zniknął w tłumie, a Harry Fleet wyciągnął rękę po Tilly. Wędrowali dalej w milczeniu po tętniących życiem uliczkach targowych.

Jakże urósł w jej oczach! Jego współczujący stosunek do biednego kaleki poruszył jej serce, a gdy w ślad za tym poczuła rozpalające się w niej gorące i intensywne uczucie, nie miała wątpliwości, co do niego czuje. Zmieniło się jej postrzeganie doktora, a do szacunku dołączyło uczucie stare jak świat, którego jeszcze nigdy w takim stopniu nie doświadczała. Kontrolowała się, żeby nie dać się ponieść. To uczucie bez przyszłości. Doktor jest przeznaczony innej kobiecie, kobiecie z jego sfery i z pozycją, i nawet głębokie uczucie Tilly tego nie zmieni.

Nazajutrz, w poniedziałek, Rosalind Darraway zjawiała się w pracy mocno poirytowana.

- Harry, muszę z tobą natychmiast porozmawiać!

- Czy to nie może poczekać, Rosalind? - zapytał, kiedy Tilly wprowadziła pierwszego pacjenta. - Właśnie zaczynamy.

- To nie potrwa długo. Chyba możesz poświęcić parę chwil na omówienie ważnej sprawy związanej z naszą przyszłością?

Chcąc nie chcąc, udał się na górę za narzeczoną.

Po pół godzinie Rosalind zeszła na dół.

- Nie czekaj na mnie jutro, Tilly. Mam nadzieję, że poradzicie sobie beze mnie. - Wymaszerowała na ulicę, gdzie szofer natychmiast otworzył przed nią drzwi samochodu.

Po jakimś czasie również doktor Fleet zszedł ze schodów. Miał poważną i skupioną minę. Zmarszczył czoło na widok oczekujących pacjentów, skinął głową, uśmiechnął się uprzejmie i zniknął w gabinecie.

Taki stan trwał do końca dnia. Tilly zachodziła w głowę, co się stało, a Frank, niezły żartowniś, robił, co mógł, by rozweselić doktora. Na próżno.

Dopiero wieczorem, gdy Tilly zbierała się do wyjścia, poprosił ją do siebie.

Przemierzał pokój z założonymi do tyłu rękami. W końcu zatrzymał się i stanął nieruchomo.

- Będę musiał zmienić plany - wyrzucił z siebie. - Sir Joshua wyjeżdża na Daleki Wschód, opuszcza Anglię pierwszego stycznia. - Odkaszlnął. - Z tego powodu Rosalind i ja zaręczamy się w Boże Narodzenie.

Tilly wiedziała, że powinna złożyć mu gratulacje, kiedy jednak otworzyła usta, słowa się ulotniły. Na szczęście nie zauważył tego, ponieważ był zajęty przeszukiwaniem szuflad biurka.

- No, jest. Wreszcie! - Wyjął niebieskie pudełeczko. - Czy mogłabyś zrobić mi grzeczność i spojrzeć na to? - Podniósł wieczko i zdjął tekturkę z niebieskim aksamitem. Znajdujący się w środku pierścionek wysadzany był trzema owalnymi kamieniami, od których bił olśniewający blask. - Co o nim sądzisz?

- Jest piękny - wyszeptała.

- Jesteście z Rosalind podobnej postury. Mogłabyś przymierzyć? Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądał na palcu.

- Ależ...

- Bo widzisz, pierścionek należał do mojej babki. Rosalind może się nie spodobać i będzie chciała wymienić go na inny, bardziej w jej guście. Dla mnie ma wielką sentymentalną wartość, ale ponieważ nigdy nie widziałem go na niczyjej ręce, trudno mi podjąć decyzję. Zależy mi na twojej opinii, Tilly. Pomóż mi, proszę. - Podniósł jej dłoń. - Masz bardzo drobną rękę. - Wsunął pierścionek na jej palec.

Jego widok zapierał dech w piersi. Małe diamenty odbijały światło i lśniły jak źródłana woda w słoneczny letni dzień. Taki klejnot uszczęśliwiłby każdą kobietę.

- Nie wyobrażam sobie nic bardziej stosownego - powiedziała z przejęciem. - A to, że należał do twojej rodziny, czyni go jeszcze bardziej wyjątkowym.

- Bo też moja babka była dla mnie kimś wyjątkowym - powiedział z uśmiechem. - Ojciec był jedynakiem. Dzisiaj oboje nie żyją... Ten pierścionek to ostatnia pamiątka, jaką mam po niej, więc jest mi szczególnie drogi. - Zamyślił się. - Ale przekonałaś mnie, że Rosalind też go polubi.

Zsunęła złotą obrączkę z palca. Pasowała idealnie.

- Panna Darraway będzie zaszczycona, mogąc go nosić. - Włożyła klejnocik z powrotem do pudełeczka.

- To wszystko stało się tak nagle... A to oznacza, że raczej nie wrócę po Nowym Roku.

- Och! - Tilly nie kryła przerażenia.

- Muszę przygotować dom i gabinet, i to możliwie jak najszybciej. - Podszedł do okna. - Mam nadzieję, że wkrótce odezwie się wuj William.

Wyszła po cichu z pokoju. Co teraz będzie? Czy doktor Tapper sprzeda gabinet, jeśli nie będzie mógł tutaj wrócić?

Co z dziećmi? Czy wszyscy stracą dach nad głową?

Został sam w gabinecie wuja.

Zawsze marzył o założeniu rodziny. Nawet na polu bitwy podtrzymywała go myśl, że pewnego dnia skończy się ten koszmar i życie znów stanie się normalne. Zapomni o masakrach i konających w mękach ludziach.

Zapomni i zacznie od nowa... miał taką nadzieję.

Westchnął głęboko. Stopniowo wracał rytmiczny oddech, a wspomnienia znikwały jak tchórzliwy lis w zaroślach.

W piątek wczesnym rankiem Tilly znalazła list na wycieracze. Poznała charakter pisma doktora Tappera. Czyżby wracał w końcu do domu?

Frank poszedł po bułki, ale dziewczynki były jeszcze w nocnych koszulach.

- Od kogo ten list? - zapytała Molly, przecierając oczy.
- Od doktora Tappera.
- Co pisze? - Cessie zamieniła się w słuch.
- Jeszcze nie wiem. - Otwierała kopertę z duszą na ramieniu.
- Już mu jest lepiej?
- Wraca do domu?

Tilly pokazała palcem na stół:

- Siadajcie i jedzcie śniadanie, to wam przeczytam. Droga Tilly - zaczęła - mam nadzieję, że ty i dzieci macie się dobrze. Stęskniłem się za wami. Ciekaw jestem również, jak mają się wszyscy moi pacjenci. Moje stare ciało z trudem dochodzi do siebie. Chciałbym móc ci zakomunikować, że wrócę niedługo, ale moje nadzieje okazały się niestety przedwczesne. Z czasem będę coraz silniejszy, ale z tego, co pisze Harry, wnioskuję, że akurat czasu jest mało. Wiem, że niedługo odbędą się jego zaręczyny. Mam nadzieję, że Rosalind Darraway da mu wiele szczęścia, bo kto jak kto, ale mój siostrzeniec na nie zasługuje. Jednocześnie w tej sytuacji jestem zmuszony podjąć pewne ważne kroki. Albo sprzedam Dom pod Tawerną, albo zatrudnię jakiegoś doktora na czas mojej nieobecności. Moja zacna siostra uważa, że bujam w obłokach, bo mój powrót do pracy nie wchodzi w rachubę. Na razie zleciłem londyńskim gazetom zamieszczenie ogłoszenia, że szukam czasowego zastępstwa. Harry zgodził się przeprowadzić rozmowy kwalifikacyjne z kandydatami. Wybierze najlepszego, a ty zachowasz pracę jako pielęgniarka. Niepokojem napawa mnie los dzieci. Napisałem już do lady Hailing, prosząc ją o pomoc w znalezieniu dla nich jakiejś kwatery. - Tilly przestała czytać.

Cessie i Molly patrzyły na nią przerażone.

- Co to jest kwatery? - zapytała Cessie.

- To miejsce, gdzie się mieszka.

- Ale my mieszkamy tutaj!

- Niestety nie zawsze będziecie mogli tu mieszkać - odpowiedziała delikatnie.

- To dokąd pójdziemy? - zapytała blada jak ściana Molly.

- Potrafisz już gotować, więc jeśli zamieszkaż w jakiejś rodzinie, będziesz mogła pomagać w kuchni.

- W jakiej rodzinie?

- Jeszcze nie wiem, ale... - Nie dokończyła zdania, ponieważ Molly wybiegła z jadalni.

Cessie rzuciła się Tilly w ramiona, płacząc i krzycząc rozpaczliwie:

- Nie zostawię cię nigdy, przenigdy! Nie chcę od ciebie odejść.

- Wiem, Cessie... - Pokiwała głową, zdając sobie sprawę, że zatrzymanie dzieci będzie niemożliwe.

Kiedy już leżeli w łóżkach, ponownie przeczytała list. Jutro będzie musiała udać się do Hailing House i porozmawiać z lady Hailing.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lady Felicity Hailing otrzymała list doktora Tappera, ale chciała usłyszeć historię dzieci z ust Tilly.

Opowiedziała więc, w jaki sposób Molly, Cessie i Frank zostali sierotami, jak bezdusznie zostali potraktowani przez krewnych i jak w końcu wylądowali na bruku.

- Zaiste, przygnębiająca historia - powiedziała lady Hailing z życzliwym uśmiechem na arystokratycznej twarzy. - Jak to dobrze, że przyprowadziłaś je do mnie. Jestem pewna, że znajdziemy jakieś wyjście. W dużych domach stale potrzeba rąk do pracy. - Zwróciła się do Molly. - Ile masz lat, moje dziecko?

- Za tydzień skończę czternaście, proszę pani - odpowiedziała grzecznie, a Tilly ulżyło, ponieważ wcześniej broniła się przed wizytą.

- A ja mam siedem - powiedziała głośno niepytana Cessie.

- Również Frank ma czternaście - dodała Tilly.

- Młodzi, ale nie na tyle, żeby nie mogli zatrudnić się w charakterze pomocy domowych.

Tilly spojrzała na Cessie i na Molly, które od początku wizyty w ciekawością przyglądały się wytwornemu salonowi i przystojnej młodej kobiecie o jasnych włosach i przyjaznym spojrzeniu, która siedziała przed nimi.

Felicity Hailing była najstarszą córką lordostwa Hailingów, znanych z działalności dobroczynnej na rzecz biednych. Tilly zachowała najlepsze wspomnienia z okresu, kiedy u nich pracowała i mieszkała w rezydencji na wyspie.

- Nie smuć się, Molly - powiedziała łagodnym tonem lady Felicity na widok szklących się oczu dziewczynki. - Pomyśl tylko... już nigdy nie będziesz musiała mieszkać na ulicy.

- Ale ja chcę mieszkać z Tilly.

Lady Felicity westchnęła.

- Najlepsze, co możemy dla was zrobić, to znaleźć wam miejsce w dobrej rodzinie, gdzie zaprzyjaźnicie się z personelem i będziecie bezpieczni. W wolne dni zawsze możecie odwiedzić Tilly. Zobaczycie, wszystko jakoś się ułoży. A teraz zadzwonię po Alice i poproszę, żeby przysłała nam podwieczorek. - Wstała, by pociągnąć za długi sznur przy kominku.

Nawet pyszne kanapki z ogórkiem i ciepłe babeczki nie przywróciły uśmiechu na buziach dziewczynek. Siedziały grzecznie i nie odzywały się.

Tilly nie mogła zebrać myśli. Co się stanie z Cessie? Do jakiej rodziny trafi Molly? Jak na to wszystko zareaguje Frank?

Po podwieczorku lady Felicity odprowadziła je do drzwi.

- Będziemy w kontakcie - zapewniła.

Tilly kamień spadł z serca, że spotkanie mają za sobą. W drodze powrotnej do domu dziewczynki kurczowo trzymały ją za ręce.

Wieczorem w suterenie panował ponury nastrój. Dziewczynki powiedziały Frankowi, co się stało, i cała trójka udała się do swojego pokoju.

Tilly siedziała sama przy kominku. Czuła się podle. Zawiodła dzieci, ale co mogła zrobić? Jej przyszłość też była niepewna.

W nocy kręciła się i rzucała na łóżku, zasypiała na krótko i budziła się z lękiem. Ale rano, kiedy ocknęła się ze snu, świeciło słońce i niebo było błękitne. Był piękny grudniowy dzień. Postanowiła pójść z dziewczynkami do kościoła, a potem na targ, razem z Frankiem, jeżeli zechce. Świąteczna atmosfera i kolędnicy poprawią im humor.

Ponieważ nie pojawiło się żadne z dzieci, poszła je obudzić. Otworzyła drzwi do sypialni i jęknęła. Dwa łóżka i materac Franka były puste.

Frank i dziewczynki zniknęli!

Tymczasem Harry podejmował szczególnego gościa. Rosalind, która przybyła o świcie, siedziała na brzegu krzesła i z uniesionym z gracją palcem piła herbatę.

Jej uczesanie było ostatnim krzykiem mody, a wytworna jedwabna suknia w pomarańczowe i kremowe grochy wyglądała jak spod igły. Gawędząc, brylowała jak zwykle, a większość nazwisk, którymi sypała, należała do osób z wyższych sfer. Do ich grona wkrótce dołączy Harry, również na płaszczyźnie zawodowej, bowiem, jak zaznaczyła Rosalind, jej znajomi są żywo zainteresowani znalezieniem dobrego lekarza. Wkrótce ich wiejska rezydencja stanie się znana, a ona będzie dumna ze sławnego męża.

Uśmiechnął się zadowolony, że nie musi się wysilać w ten sielski niedzielny poranek, gdy na dworze świeci słońce i już prawie pachnie wiosną. Może zaprosi Rosalind na lunch? A potem na spacer do Hyde Parku, gdzie Rosalind odda się towarzyskim ploteczkom, które tak bardzo lubi?

- Harry, skup się trochę - usłyszał jej głos i uświadomił sobie, że śni na jawie. - Papa przygotowuje Boże Narodzenie pod kątem naszych zaręczyn. Mama uwija się jak w ukropie... chyba przyjedziesz na wigilijną kolację?

Zmarszczył czoło.

- Hm... mogę się spóźnić. To będzie mój ostatni dzień pracy tutaj. Po przyjęciu ostatniego pacjenta zamierzam urządzić małe pożegnanie.

- Czy to konieczne? - naburmuszyła się Rosalind.

- To są moi pacjenci, Rosalind. Poza tym muszę pożegnać się z Tilly i z dziećmi.

- No cóż, myślę, że jakoś to wszystko pogodzisz. - Położyła rękę na jego ramieniu. - Na razie zastanówmy się, gdzie kupimy pierścionek.

Jego twarz pojaśniała.

- Najpierw coś ci pokażę.

Udał się na dół po niebieskie pudełeczko. Kiedy wrócił, Rosalind z trudem kryła podniecenie.

- Och, Harry! Co tam przede mną ukrywasz?

Położył ostrożnie pudełeczko w zagłębieniu jej dłoni. Podczas zdejmowania wieczka twarz Rosalind promieniała. Pod niebieskim aksamitem skrzył się pierścionek jego babki. Wyjęła go.

- Podoba ci się?

- Och... hm... tak. Jest... uroczy.

- Pozwól, że ci go włożę.

Podąła mu rękę. Skierowała diamentyki do światła i prawie natychmiast opadły jej kąciki ust.

- Gdzie to kupiłeś?

- To pierścionek mojej babki.

- A... Rozumiem. Chyba jest trochę za ciasny.

- Wystarczy dać go do przeróbki. Ten pierścionek jest pamiątką rodzinną i ma dla mnie dużą wartość sentymentalną.

Zdjęła pierścionek i włożyła go z powrotem do pudełeczka.

- Harry, nie wydaje mi się, żeby był stosowny.

- Dlaczego?

Zaśmiała się.

- No wiesz, jest ładny, ale staroświecki. Zwykle dziewczyna wybiera to, co jej się podoba. Coś modniejszego. Możemy wybrać razem! - zawołała, po czym spuściła oczy i dodała rozdrażnionym tonem: - O ile wygospodarujesz

trochę czasu w tym swoim ukochanym gabinecie. - Wyciągnęła rękę, wabiąc go do siebie. - Zjemy lunch na mieście i porozmawiamy o naszym ślubie. Uważam, że wiosna byłaby idealna dla wszystkich. Papa i mama mieliby dość czasu, żeby wszystko zorganizować i... - Urwała poirytowana głośnym waleniem do drzwi frontowych. - W niedzielę? Kto to może być?!

- Zaraz zobaczę.
- Musisz?
- Już wracam.
- Proszę, tylko odeślij ich szybko.

Harry zbiegł na dół. W drzwiach stała Tilly.

- Przepraszam, że przeszkadzam.
- Wejdz, wejdz. Co się stało? Jesteś zdenerwowana.
- Tak, i to bardzo. Szukałam ich wszędzie. Byłam w parku i w szkole, która oczywiście jest zamknięta, a także w Island Gardens, ale nigdzie ich nie ma!

Posadził ją na krześle.

- Oddychaj głęboko i powiedz, o kim mówisz.
- O dziewczynkach i Franku! Zniknęli!
- Gdzie?
- Sama chciałabym wiedzieć. To moja wina. - Łzy napłynęły jej do oczu. Chciał ją pocieszyć, gdy na schodach pojawiła się Rosalind.
- O co chodzi, Harry?
- Nie wiem, Rosalind, próbuję się dowiedzieć.
- Czy to takie pilne? Czy już naprawdę nie możemy porozmawiać w spokoju? Nawet w niedzielę rano?
- Tilly jest zrozpaczona.
- Rozumiem. W takim razie będzie lepiej, jeśli sobie pójdę.

- Proszę, Rosalind, jeszcze tylko chwilę. Chyba rozumiesz, że nie mogę tego tak zostawić. Dlaczego nie zaczekasz na górze?

- Bo tam nigdy się nie doczekam - warknęła, schodząc na dół. - Mam nadzieję, że po ślubie takie rzeczy nie będą miały miejsca, bo obowiązki wobec żony przedłożysz ponad wszystkie inne.

Nie zwracając uwagi na Tilly, przekroczyła próg i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Przepraszam... musisz zrozumieć Rosalind. Jest trochę... hm... podenerwowana. - Nie powinnam była przychodzić.

- Oczywiście, że powinnaś. A teraz powiedz, co się stało.

Nie wiedziała, od czego zacząć. Dzieci uciekły, ale dlaczego? I dokąd? Zaczęła od listu doktora Tappera, potem opowiedziała o wizycie w Hailing House...

Przeszukali targ. Kiedy już stracili nadzieję, postanowili się rozdzielić i szukać osobno.

Ostatnie trzy miesiące były trudne i Tilly wydała wszystkie swoje oszczędności. Wygospodarowała tylko trochę grosza na prezenty dla dzieci. Miała dwie śliczne szmaciane lalki dla dziewczynek i parę butów z metalowymi ćwiekami dla Franka. Nie wystarczyło już na choinkę, ale postanowiła zapakować prezenty i powiesić skarpetki dzieci nad kominkiem. W wieczór wigilijny usiedliby przy wesoło trzaskającym ogniu, a ona opowiedziałaby im historię o starym liczykrupie Ebenezerze Scrooge'u i o tym, jak zmieniło się jego życie po spotkaniu z duchami, co tak pięknie opisał pan Dickens. Później przeczytaliby fragment Biblii mówiący o prawdziwej historii Bożego Narodzenia, O tym, jak cesarz August zarządził spis ludności, który sprowadził do Betlejem Maryję i Józefa na osiołku.

Tak miało być...

Przystanąła dla złapania tchu. Zaglądała wszędzie, rozmawiała z każdym, kto znał Franka, a dzieci jak nie było, tak nie było.

- Weźmy samochód i jeszcze raz poszukajmy - zdecydował Harry, kiedy się spotkali.

Pokiwała głową. A jeśli ich nie znajdą? Cessie jest słabego zdrowia. Noce są zimne. Gdzie będą spać? Kto je nakarmi?

- Nie martw się... na pewno nie odeszły daleko - pocieszał ją Harry.

Tę noc spędziła na krzeselku. Nadśluchiwała, podrywała się na każdy dźwięk, licząc, że stanie się cud i dzieci wrócą. O świcie pobiegła do ich pokoju. Był pusty...

- Żadnych wiadomości? - zapytał Harry, kiedy weszła na górę.

- Żadnych.

- Później znów poszukamy.

Starła się skoncentrować na pracy, której było dużo. Do Bożego Narodzenia zostało osiem dni i każdy chciał je spędzić w dobrym zdrowiu. O tej porze roku powodzeniem cieszył się syrop na kaszel doktora Tappera. Gdyby nie troska o dzieci, Tilly śmiałyby się, kiedy Harry poprosił ją o zdjęcie z półki medykamentu wuja.

Wieczorem po raz drugi wsiedli w samochód i udali się na poszukiwanie. Jechali wolno, a reflektory przeczesywały ciemne uliczki. W końcu Harry zatrzymał auto.

- Chyba dzisiaj na tym poprzestaniemy - powiedział ze smutkiem.

Tilly miała wrażenie, że im dłużej szukają, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo znalezienia dzieci. Po jej wizycie z dziewczynkami w Hailing House Frank postanowił - była tego niemal pewna - że lepiej być razem na ulicy, niż zgodzić się na rozłąkę.

Wtorek nie przyniósł nic nowego w sprawie dzieci. Podobnie było w środę. Dni pracy o tyle różniły się od dotychczasowych, że pojawiali się chętni na stanowisko prowadzącego gabinet w zastępstwie doktora Tappera. Rozmowy z kandydatami prowadził doktor Fleet. Dość szybko okazało się, że dla większości głównym walorem pracy w tej dzielnicy slumsów był Dom pod Tawerną. Ani Tilly, ani pacjentom w poczekalni żaden z nich nie przypadł do gustu.

W czwartek doktor Fleet zrobił wyjątek od reguły. Oznajmił Tilly, że wychodzi na dwie godziny w porze lunchu, ponieważ będzie towarzyszył pani Darraway w załatwianiu ważnej sprawy.

Rosalind zjawiała się w przychodni w eleganckim brązowobeżowym kostiumie z dużym futrzanym kołnierzem. Mogła służyć za wzór elegantki ze sfery ziemiańskiej, pomyślała Tilly.

- Jesteś gotów, Harry? - Otworzyła drzwi gabinetu i nie zwracając uwagi na kolejkę, weszła do środka. - Moppin and Webb uchodzą za najmodniejszą firmę w tym sezonie - słychać było jej głos. - Ale papa woli, żebyśmy zajrzeli do naszego rodzinnego jubilera.

Kiedy wyszli, doktor podał jej ramię, a Rosalind skwapliwie z niego skorzystała.

- Paniusia da mu szkołę! - szepnął ktoś w kolejce, gdy za szykowną parą zamykały się frontowe drzwi.

- No to teraz, Tilly - odezwał się po ich wyjściu jeden z pacjentów - daj staremu Billowi to coś na ból kręgosłupa, co dawał mi doktor Tapper. Jak się dobrze wysmaruję, od razu poczuje się lepiej.

Udała się do kuchni, żeby odszukać na półkach miksturę olejku kamforowego, terpentyny i smalcu, która w okolicach Nowego Roku, kiedy

przybywało pacjentów skarżących się na reumatyczne bóle, zawsze cieszyła się powodzeniem.

Łzy napłynęły jej do oczu.

Nowy Rok!

Wejdzie w 1929 rok bez ludzi, których kocha. Bez Cessie, Molly i Franka, a także doktora Tappera...

Ale teraz... teraz jest ktoś... kto wkradł się do jej serca i zawładnął nim. Osoba tak jej droga, że sama myśl o rychłym rozstaniu przepelniała ją bezgranicznym smutkiem.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

W miarę zbliżania się świąt przybywało pracy i Tilly miała niewiele czasu na rozmyślanie. W wolnej chwili udało jej się zawiesić na wszystkich drzwiach gałązki ostrokrzewu. Pacjenci przynosili to, co udało im się wyżebrać, pożyczyć, a nawet ukraść. W ten sposób chcieli wyrazić swoją wdzięczność młodemu doktorowi. Butelki piwa imbirowego i domowe wypieki stały na stole w przejściu.

- Leczniczy trunek dla naszych pacjentów - zaanonsował w sobotę rano Harry, schodząc z góry z tacą z kieliszkami i butelką porto.

Ochoczo mu przykłaśnięto. Tilly uwijała się, zmieniała i zmywała kieliszki, a kiedy ich zabrakło, podała kubki. Po porto przysła kolej na grzane wino znane z dobroczynnego oddziaływania na serce i płuca.

Ludzie, którym podobnie jak Tilly nie przypadł do gustu żaden z kandydatów, pytali o nowego doktora. Na pytania dotyczące dzieci Tilly potrząsała tylko głową.

- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś - zapewniali ją.

- Głowa do góry, dziewczyno!

Starła się zachowywać normalnie, ale brakowało jej śmiechu dziewczynek i żartów Franka, więc tęsknotę za nimi maskowała wymuszonym uśmiechem. Po śmierci męża żyła samotnie i zaakceptowała ten stan rzeczy, ale od pojawienia się dzieci życie nabrało nowego sensu. A potem pojawił się Harry! Dotąd uważała, że nikt nie zastąpi Jamesa, ale wkrótce zmieniła zdanie. To, co czuła do niego, było tak silne, że aż ją przerażało.

- Powiedz, o czym myślisz? - Znajomy głos przywołał ją do rzeczywistości.

- Och, chyba śniłam na jawie - zmieszała się.

- Bardzo ci z tym do twarzy.

Zaczerwieniła się.

- Nieczęsto mi się to zdarza.

Miała ochotę go wyściskać. Zamiast tego odwróciła się i wmieszała w tłum pacjentów. Niedługo potem złapała płaszcz i czapkę i po paru chwilach znalazła się u siebie.

Czekało ją pieczenie słodkich nadziewanych bakaliami babeczek, tradycyjnego wigilijnego przysmaku, którymi zamierzała poczęstować w poniedziałek stałych bywalców Domu pod Tawerną.

W niedzielę poszła do kościoła. Dzieci ze szkoły niedzielnej zrobiły stajenkę, w której poustawiały utracone, ale kolorowe porcelanowe figurki Świętej Rodziny, pasterzy i owiec, a także, pośrodku, Trzech Króli. Przed żłóbkiem, z gwiazdą z błyszczącego papieru na szczycie, defilowały długie kolejki dzieci.

Jeszcze bardziej zatęskniła za swoją gromadką.

- Gdziekolwiek są, opiekuj się nimi, Panie - wypowiedziała drżącymi wargami.

Był poniedziałek, dwudziesty czwarty dzień grudnia 1928 roku. Wigilia Bożego Narodzenia. Ubrana w swoją najlepszą świąteczną sukienkę, Tilly otworzyła drzwi na opustoszałą ulicę.

W ten dzień doktor Tapper kończył zawsze pracę w południe. Każdego roku Tilly stawała na górnym podejściu i wypijała z nim kieliszeczek kremowej sherry. Potem szła do Hailing House i pomagała w przygotowaniach do wieczery urządzonej dla biednych i będących w potrzebie ludzi.

- Co za cisza i spokój od rana - zauważył Harry, schodząc po schodach. Ubrany był w czarną marynarkę z kamizelką, a gęste czarne włosy zaczesał

starannie do tyłu. Najwyraźniej spodziewa się wizyty Rosalind, pomyślała z niechęcią Tilly.

W tym momencie drzwi otworzyły się na oścież i pojawiła się w nich kobieta z wrzeszczącym dzieckiem na ręku. Pozostała trójka dzieci trzymała się jej spódnicy.

- Wpakował sobie coś do nosa, doktorze!

Dziecko zostało zabrane do gabinetu, a szklana kulka usunięta dzięki przekupstwu. Słodka babeczka wsunięta do buzi malca całkowicie odwróciła jego uwagę.

- Mnie akurat nic nie jest - oznajmił Charlie Atkins. - Chciałem tylko życzyć doktorowi wesołych świąt i podziękować za wszystko, co dla mnie zrobił, bo słyszałem, że od nas odchodzi. To prawda, dziewczyno?

- Niestety tak.

Wkrótce przejście zapełniło się dłużnikami doktora. Przyszły panie Tanner i Mount, których córki wracały do zdrowia, głównie dzięki szybkiej i skutecznej interwencji doktora. Kobiety nie znajdowały słów wdzięczności.

Ogólną wesołość zakłócała jedynie niepewność co do następcy doktora Fleeta.

Kiedy wszyscy się rozeszli, przyszła też pora na Tilly. Przed wyjściem wyjęła z kieszeni paczuszkę i podała ją doktorowi.

- To na nowe mieszkanie - powiedziała z promiennym wzrokiem.

- Tilly! Co to takiego? - Wziął od niej prezent i zaczął go rozpakowywać.

- To przycisk do papieru z papier mâché, obciążony w środku kamieniem.

Zrobiły go dzieci i namalowały na nim rudzika. Na pewno by chciały, żeby przypominał ci o... o miejscu, w którym kiedyś pracowałeś.

Przerwał rozpakowywanie paczuszki i przeniósł wzrok na nią.

- Dziękuję. To bardzo miło z ich strony... także z twojej.

Nieoczekiwanie pochylił się do przodu, a kiedy Tilly spojrzała w jego ciemne oczy, musnął wargami jej policzek.

Nie mogła wydobyć głosu. Patrzył jej w oczy, splótł z nią palce...

- Ja... muszę już iść. - Wyrwała rękę.

- Zaczekaj jeszcze chwilę.

Wybąkała, że śpieszy się do Hailing House, gdzie musi pomóc w przygotowaniu wieczerzy, i uciekła. Serce jej waliło jak młot, kiedy wbiegała do sutereny.

Pocałował ją w policzek!

Dotknęła tego miejsca. Wiedziała, że to tylko przyjacielski gest, który nic nie znaczy. Ale nigdy tego nie zapomni.

Podeszła do kominka i usiadła w fotelu. Ogień zgasł, a w palenisku został tylko popiół. Oczy miała pełne łez. Pozwoliła im płynąć... Zbyt długo się hamowała i zachowywała pozory obojętności.

Obudzili ją kolędnicy. Najpierw myślała, że to sen, ale szybko dotarło do niej, że to dzieje się na jawie! Zasnęła w fotelu! Przeraziła się, kiedy spojrzała na zegar i stwierdziła, że spała wiele godzin. Po raz pierwszy od śmierci męża nie poszła do Hailing House.

Wstała i zapaliła lampę naftową. Głosy na ulicy zbliżały się.

- Anioł pasterzom mówił, Chrystus się wam narodził! - rozległo się pod domem.

Znalazła portmonetkę i wyjęła pensa. Następnie wytarła koniuszkami palców słone policzki i szybko przygładziła włosy.

Owiał ją zimny wiatr, kiedy otworzyła drzwi.

- Życzymy wesołych świąt... życzymy wesołych świąt...

Na widok jasnorudych loków wystających spod czapeczki dziewczynki wydała stłumiony okrzyk:

- Cessie! - Po chwili kręciła się w koło razem z obejmującą ją kurczowo dziewczynką i śmiała się na całego. - Nie mogę w to uwierzyć! To naprawdę ty? - Objęła też Molly i Franka. - Och, Frank... Molly!

- Przepraszamy, że uciekliśmy - powiedziała Molly, ściskając ją tak mocno, że nie mogła oderwać jej od siebie.

- Dlaczego to zrobiliście?

- Bo nie chcemy, żeby nas rozdzielono.

- Przecież nie będziecie mieszkać na ulicy!

Frank pokiwał głową.

- To moja wina, panno Tilly. Wiem, że zachowałem się głupio, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Gdzieście się podziewali przez cały ten czas? Co się z wami działo? - Spojrzała na ich czyste ubrania. Buzie też mieli umyte, chociaż wyglądali na głodnych.

- Przygarnęła nas jedna pani z Armii Zbawienia. Dała nam łóżka, jako że zbliża się Boże Narodzenie, ale nie wiedzieliśmy, co zrobimy potem. Aż nagle znalazł nas pan doktor.

Tilly zatkało.

- Doktor?

- Tak... przyszedł dzisiaj po południu. Powiedział, że szuka nas od samego początku i że w końcu nas znalazł.

- I nic mi nie powiedział? - jęknęła Tilly.

- Nie chciałem rozbudzać twoich nadziei.

Odwróciła się błyskawicznie. W drzwiach stał Harry. Dzieci wciągnęły go do środka.

- Och, Harry... wprost nie mogę uwierzyć. - Jej rodzina wróciła! Nie wiedziała, na jak długo, ale dzisiaj to nie miało znaczenia. Spędzą razem święta i tylko to się liczyło.

- Prawda, że to będą wesołe święta, panno Tilly? - zawołała Cessie, gdy Tilly mocniej ją przycisnęła.

- Tak, Cessie, na pewno.

- Pomogę przygotować kolację, panno Tilly - wtrąciła nieśmiało Molly.

Harry uśmiechnął się i położył rękę na ramieniu Franka. Tilly była zbyt szczęśliwa, żeby cokolwiek powiedzieć. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie.

W suterenie wreszcie zapanowała cisza. Po kolacji dzieci szybko zasnęły. Spełniły się wszystkie marzenia Tilly. Siedziała w swoim ulubionym fotelu blisko Harry'ego.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. - Wyciągnął rękę i poprowadził ją do drzwi. Otworzył je, a kiedy wspięli się po schodach, Tilly zadrżała. Ulica była pusta, noc widna, w oknach domów paliły się światła. Wprawdzie nie było śniegu, ale dla niej widok przypominał obrazek z kartki pocztowej. - Co widzisz?

- Wszystko, co kocham, Harry - odpowiedziała bez wahania. To była jej wyspa, specjalnie miejsce, gdzie wiatr od rzeki niósł sól i smołę, którymi się oddychało, gdzie syreny statków słychać było o każdej porze dnia i nocy, gdzie jedni ludzie tracili życie, a drudzy odzyskiwali je, żyjąc z łaski wody.

- I ja z czasem pokochałem to miejsce. Tutaj jestem szczęśliwy.

- Będiesz szczęśliwszy, prowadząc własną praktykę na wsi.

- Nie sądzę.

- Nie powinieneś tak mówić. - Popatrzyła na niego. Zdawało jej się, że gwiazdy na niebie przeglądają się w jego oczach. - Odchodzisz stąd i pewnie nigdy więcej cię nie zobaczę.

Delikatnie ujął jej twarz i pocałował ją... To była najśłodsza chwila w jej życiu.

- Tilly, byłem ślepy i głupi. Nie mogę stąd wyjechać... nie wyjadę stąd... znalazłem tu szczęście i ukojenie.

Ocknęła się, zrobiła wielkie oczy.

- Ale przecież ty... i panna Darraway! Kochasz Rosalind! - wykrztusiła.

- Nawet jeśli tak kiedyś myślałem, byłem w błędzie. Z Rosalind nigdy nie będziemy szczęśliwi, o czym oboje już wiemy.

- Przecież wszystko zostało zaplanowane. Wasze zaręczyny i twoja praktyka, nowy doktor na twoje miejsce...

- Ja jestem tym nowym doktorem. - Zaśmiał się radośnie. - A przede mną stoi moja przyszła żona, o ile powie tak. - Uniósł jej podbródek i popatrzył jej głęboko w oczy. - Dom pod Tawerną czeka na nas, Tilly. Wypełnij go swoją obecnością... a także naszych sierot.

- Czy to znaczy... masz na myśli Franka i Molly, i Cessie?

- Tak, kochana. Jakżeby inaczej! Adoptujemy je i będą nasze.

- Przestań... proszę, przestań! - Podniosła rękę. - Och, Harry, ja chyba śnię!

Zaśmiał się znowu.

- Jeśli ty śniesz, ukochana, to w takim razie śnimy oboje. Powiedz tak, Tilly. Powiedz tak.

Dzwony wszystkich kościołów i wszystkich wysokich wież rozdzwoniły się nad Londynem. Ogłaszały Boże Narodzenie.

- Tak - wyszeptała Tilly w jego ramionach, które miały ją chronić przed mroźnym wiatrem.

Wtedy pocałował ją drugi raz. Towarzyszący ich pocałunkowi księżyc rzucał srebrne światło na ziemię i sączył magię w ludzkie serca. Stopniowo ciemność nocy zaczęła ustępować miejsca budzącemu się nowemu dniu.

Półtora roku później

Ogłoszenie zamieszczone w Island Times, czerwiec 1930 r.:

Doktor Harry Fleet wraz z małżonką z wielką radością zawiadamiają o chrzcie ich syna Williama Harry'ego, braciszka ich podopiecznych - Franka, Molly i Cessie.

Uroczystość odbędzie się w kościele św. Mikołaja na Isle of Dogs w niedzielę 22 czerwca o godzinie 14-tej. Rodzina Fleetów zaprasza wszystkich bez wyjątku znajomych do udziału w tej doniosłej chwili, po której czekać będzie na uczestników zimny bufet podany w gabinecie doktora Fleeta i jego emerytowanego partnera doktora Williama Tappera, ojca chrzestnego dziecka.

Państwo Fleetowie mają szczerą nadzieję, że wszyscy przyjaciele zechcą w tym dniu dzielić z nimi ich szczęście.

